Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 13 (1853) • 27 marca–2 kwietnia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

DNA destrukcji

str. 8



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl cbc5cb04da

WOJNA DOMOWA

Tydzień należał do palca prezydenta. Prezydent wycelował palec w dziennikarza TVN24 Mateusza Półtchłopka, który wykrzyczał pod adresem Nawrockiego pytanie, czy mu nie przeszkadza zażyłość Orbána z Putinem. Nawrocki już prawie zdążył zejść ze sceny, ale nie zdzierżył, cofnął się i wymierzając w reportera palec, wyszedł z nerw, zachowując wszakże tę rozbudowaną formę tytulatury, która jest jego znakiem firmowym (chwilę wcześniej ogłosił, że do wspólnych polsko-węgierskich bohaterów narodowych należy „pan generał Józef Bem"): „Mówię do pana, panie redaktorze, Władimir Putin to zbrodniarz, rozumie pan redaktor? Pan redaktor się ogarnie i słucha, co mówi prezydent Polski". W tym miejscu należy odnotować, że prezydent Polski nie zeskoczył ze sceny i nie spuścił dziennikarzowi wpierdolu, co łacno mógł zrobić, bo Półtchłopek wygląda adekwatnie do nazwiska, czyli dość rachitycznie. Pamiętacie opowiadanie o Leninie, któremu dzieci przeszkodziły w goleniu? Nakopał im do dupy i wyrzucił za drzwi – a brzytwę miał w ręku…

Dyskusja o palcu prezydenta okazał się równie ważna – jeśli nie ważniejsza – od dyskusji o jego podróży do Budapesztu, gdzie spotkał się z Viktorem Orbánem, walczącym obecnie o reelekcję. Wspieranie Orbána przez PiS zawsze stanowi wodę na antypisowski młyn – a w tym tygodniu szczególnie, zważywszy na doniesienia „Washington Post", że węgierski minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó regularnie opowiada Siergiejowi Ławrowowi, co się dzieje na konwentyklach UE. Mamy w tej sprawie dwie nieco oderwane refleksje. Pierwsza jest taka, że przejęty przez Jeffa Bezosa „Washington Post" (który ostatnio zwolnił ponad 300 pracowników, w tym jedną trzecią dziennikarzy, głównie korespondentów zagranicznych) jest już jawnym organem ostentacyjnie wrogiego wobec UE trumpizmu, ale kiedy nawala w Węgry i Rosję, nikt nie pyta o jego intencje. Druga – czy ktoś naprawdę sądzi, że Karol Nawrocki może przechylić szalę węgierskich wyborów? Tak tylko pytamy…

W obronie autorytetu głowy państwa dziarsko ruszył min. Bogucki, który w ostatnich tygodniach wyrasta na najbardziej bojowego harcownika prezydenckich zagonów. Otóż histeryczny wybuch Nawrockiego pod adresem Półtchłopka było to „bardzo zdrowe, racjonalne, mądre zachowanie pana prezydenta". I jeszcze, błyskając dowcipem godnym Suskiego, min. Bogucki ogłosił, że Mateusz Półtchłopek „to nie jest półdziennikarz, to jest ćwierćdziennikarz". Ha ha. Za to na poważnie szef Kancelarii Prezydenta RP wytłumaczył cel spotkań swego szefa z Viktorem Orbánem: „Żeby Viktor Orbán jako premier Węgier – jeżeli nim będzie – przestał kupować na przykład gaz z Rosji, tylko żeby kupował gaz z Polski przez interkonektor w Strachocinie i żeby zamiast rosyjskiego gaz amerykański przez Polskę trafiał do Węgier". Tak sobie myślmy: czy ktoś z Państwa czytał gdzieś, jaka jest różnica w cenie między gazem amerykańskim i rosyjskim? Bo my jakoś nigdzie nie możemy znaleźć takiej informacji – poza publikacjami prof. Jeffreya Sachsa, który konsekwentnie powtarza, że gaz amerykański jest sześć razy droższy.

Premier Tusk jest bardzo zadowolony ze swojego wpływu na wspólnotę europejską, gdzie „pojawił się nowy język w sprawie migracji". Tusk „podawał jako wzór polskie postępowanie" i „wszyscy się z nim zgadzali", że „nasze działanie na naszej wschodniej granicy, tej z Białorusią" powinno stać się europejskim standardem. Ten wzór, przypomnijmy, to wicepremier i minister obrony narodowej ściskający dłoń żołnierza, który odważnie skatował kolbą karabinu leżącego na ziemi uchodźcę. Premier Tusk, symbol europejskich wartości w polskiej polityce, ogłosił z dumą, że to jego zasługą jest „ta deklaracja o tym, że Europa będzie zamknięta". Czy tylko my mamy niejaki dysonans poznawczy?

Polskie Stronnictwo Ludowe złożyło projekt ustawy „poprawiającej błędy" projektu prezydenckiego – tak, żeby zysk ze zmiany kursu złota dało się legalnie wyjąć z NBP i wpierdolić w zbrojenia, dorzucając go do 200 mld zł zapisanych w tegorocznym budżecie i 185 mld pożyczki z UE. „Kawa nie wyklucza herbaty" – orzekł Kosiniak-Kamysz. Otóż raczej wyklucza – przynajmniej jeśli ktoś jest dobrze wychowanym gościem, a nie chamem, który przychodzi się nażreć i ochlać za darmo. „Opozycja nie chce wzmacniać polskiej armii, a ja chcę jak najwięcej i skorzystam z pieniędzy europejskich, polskich, amerykańskich, koreańskich, jakichkolwiek" – opowiadał radośnie mały Władzio. W następnym zdaniu odpowiedział na pytanie dziennikarza o cięcia w NFZ: „Będę tutaj z całą mocą przekonywał pana premiera, żeby nie było żadnych cięć, na pewno trzeba otwierać możliwości, a nie je zmniejszać". Czy ktoś mógłby Władziowi wytłumaczyć, że jak wyda wszystkie pieniążki na czołgi dla swoich żołnierzyków, to mamusia nie będzie miała na syropek, jak go rozboli gardziołko? À propos pieniążków: senator RP, trzygwiazdkowy generał Mirosław Różański, były dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych o prezydenckim projekcie SAFE zero procent: „Wolałbym, żeby mówiono o konkretnych pieniążkach, a nie o kwestiach takich, które mogą być prawdopodobnymi"…

Podczas gdy media prorządowe żyły palcem Nawrockiego, media pisowskie znalazły sobie zupełnie inny temat do oburzenia: „Legenda opozycji ma trafić do więzienia za obrazę Romana Giertycha". Rozpoczęliśmy nerwową kwerendę. Modzelewski? Nie żyje. Kuroń? Nie żyje. Geremek? Nie żyje. Lipski? Nie żyje. Mazowiecki? Nie żyje. Walentynowicz? Nie żyje. Wujec? Nie żyją obydwoje. Kurwa, zamkną Wałęsę! Ale nie: „legendą antykomunistycznej opozycji", która ma trafić do więzienia za oplucie (dosłownie i w przenośni) Giertycha jest niejaki Adam Borowski. Jeśli nigdy nie słyszeliście Państwo o takiej legendzie, to nie jesteście sami. Tak dla porządku: jesteśmy pryncypialnie przeciwni wsadzaniu kogokolwiek do więzienia za plucie na Giertycha, nawet jeśli potencjalny osadzony sam się o to prosi, uporczywie nie wykonując wyroków zobowiązujących go do przeproszenia Romana. Upór p. Borowskiego zapewne nie okaże się zbyt kosztowny – prezydent Nawrocki już ogłosił, że „jest zaniepokojony tą sytuacją, bo zna człowieka", więc człowiek raczej długo nie posiedzi – ale za to przyniósł mu pewną rozpoznawalność i program specjalny w telewizji Sakiewicza. Najbardziej zaintrygował nas adwokat Borowskiego, mec. Wąsowski, który przy okazji podzielił się następującą wiadomością: „Mój klient, jak powszechnie wiadomo, jest szarmancki szczególnie wobec kobiet w togach i łańcuchach". Kobiety w łańcuchach szczególnie potrzebują szarmanckości.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Marzec 2014 r.

Świętej Klementyny

Prezydent wrócił z Węgier. Skoro Komorowski został przyjacielem Orbána, radzę mu używać prezerwatywy.

Świętej Lei

Kobietę, która strzygła mi głowę do gołego łupieżu, w trakcie tej jej pracy złapałem za udo. Narobiła strasznego krzyku, ale policji nie wezwała, gdyż obsmyczała mnie Daniszewska. Od czasu tego incydentu Azor mi się nie odkłania. Byczego chuja mu w dupę! Pudel to nie Polak. Polacy to szanowany naród. U nas w Warszawie ktokolwiek spotka Polaka, grzecznie się każdemu kłania.

Świętego Wiktoriana

Ten grubszy Kamiński zwany Misiem, który zdradził nacjonalistów i przystał do Tuska, przeciągany był przez telewizje i gazety w czapce hańby. Ciekawe, czy katoliccy wyborcy PO zechcą poprzeć wysłanie Judasza do Europarlamentu.

Świętej Katarzyny

Wygląda na to, że mianowanie Wojtyły świętoszkiem stanie się kosztownym świętem państwowym neutralnej światopoglądowo Polski. Zapewne sejm uchwali, że JP2 niezawodnie leczy raka. Podobno Miller ma dostać kroplę papieskiego moczu jako relikwię I kategorii wraz z nocnikiem – kategoria II.

Świętej Anuncjacji

Rosja powinna emitować na Ukrainę amerykański serial telewizyjny „House of cards", to odechce im się demokracji. Stany ustrój ten słownie zachwalają, a na obrazkach obrzydzają. Filmy z USA mają większe wzięcie niż przemówienia. Rezultatem Syria, Egipt, Irak, a Kijów też ma raczej oczy niż uszy.

Świętej Larisy

Słuchając leczniczej konferencji prasowej ministra Arłukowicza mówiącego o rakach, które pobiegną szybką ścieżką, wpatrywałem się niezmiennie w nudzącego się premiera. Starałem się odgadnąć, czy w danej chwili jest myślami na Ukrainie, czy marzy o kopaniu piłki, czy też wilcze oczy patrzą w nieskończoność, a do strumienia świadomości Tuska napływają ścieki.

Świętej Larisy (cd.)

Prof. Magdalena Fikus oszczędnie prezentowana jest w telewizji, gdyż stanowi ikonę drugorzędnych cnót: prawości, mądrości, wiedzy. Ostatnio mówiła o sobie dla „Dużego Formatu". O ojcu powiedziała, że był w PRL „wyższym urzędnikiem państwowym w Warszawie". Czyli zamgliła tę prawdę, że współautor Profesorki pracował jako minister i był członkiem rządu niezwykle zasłużonym dla tworzenia podstaw rozwoju przemysłowego Polski. Pod naciskiem zakłamywaczy historii PRL stała się epoką wyłącznie opresji, a funkcjonowanie w tym państwie rzeczą wstydliwą. Sądzę, że nadejdzie czas reakcji na reakcję i nastanie moda na Polskę Ludową. Jeśli tego dożyję, stanę się cenionym zabytkiem zwiedzanym w zoo, gdzie posiądę honorową klatkę.

Świętego Mikarema

21 marca w sejmie wystawiono dramatyczne widowisko telewizyjne. Zrozpaczeni swą biedą rodzice kalekich dzieci, okupujący kawałek gmachu parlamentu, przez dwie godziny krzyczeli na premiera. Okupacja sejmu była konsekwencją błędnej populistycznej decyzji o tzw. styczniowych matkach, czyli udzieleniu rodzącym nowych przywilejów wstecz. Skuteczność przywleczenia do sejmu kalekich dzieci i publicznego wymyślania premierowi od kłamców spowoduje, że rozłożą się tam kolejno bezdomni, bezrobotni itd. i budżet państwa dzielony będzie przez szlochy do kamer.

Opiekunów kalekich dzieci wprowadził do sejmu poseł Mularczyk, ziobrysta. Należy on do tej prawicy złożonej z katolickich fanatyków, która utrudnia badania prenatalne i przerywanie wadliwej ciąży. Przez takich jak Mularczyk przykościelnych fundamentalistów rodzi się wiele dzieci niezdolnych do ludzkiego samodzielnego życia, a gdy ich rodzice umrą, skazanych na paskudne przytułki.

Tusk nie ośmielił się powiedzieć wrzeszczącym rodzicom, że często to oni sami zdecydowali się wydawać na świat potomków niezdolnych do egzystencji, niech więc oni ponoszą konsekwencje, a nie rząd. Ten wydaje na świat tylko kalekie ustawy, projektując je i forsując poród. Ale te projekty podlegają aborcji u czterech jeszcze lekarzy: w sejmie, senacie, u prezydenta i w Trybunale Konstytucyjnym.

Świętego Jeimala

Na spędzie PO przemawiał Kliczko, zapewniając, że Ukraina będzie wzorować się na Polsce. Pysznie. U nas Ministerstwo Sprawiedliwości kantuje na przetargach, a wywiad kradnie miliony ze swojej kasy. Nota bene gdy „Gazeta Wyborcza" pisała o dawnym pruciu kasy przez asy wywiadu, „NIE" opisywało rzecz aktualną. Zapłacenie miliona bardzo prymitywnemu oszustowi udającemu naszego szpiega. Są podejrzenia, że wzbogacił się oficer prowadzący.

Świętej Melanii

Histeryczny historyk i przepolszczony Polak Waldemar Łysiak pisze w nr. 13 tygodnika „Do Rzeczy", że za okupacji Żydzi licznie kolaborowali z Niemcami i wydawali im współplemieńców. Tymczasem Polaków oskarża się niewinnie o te zbrodnie. Tu Łysiak cytuje Hannah Arendt w relacji z procesu Adolfa Eichmanna obwiniającą Judenraty. Łysiak, podobnie jak „antysyjoniści" z 1968 r., ma świętą rację. Coś jednak różniło kolaborację Żydów i Polaków. Motywem poczynań pierwszych była głównie nadzieja na uratowanie życia, zaś motywem drugich – zarobek. Ale możemy znaleźć kompromis na gruncie faktów. Policja żydowska wewnątrz gett naganiała Niemcom ludzi do rozstrzelania albo na wywózkę do gazu. Policja polska na zewnątrz gett pilnowała, żeby żaden Żyd nie uciekł. Zgoda?

Świętego Gontrama

Tylko Daniszewska wie, co żre Daniszewska. Karmi się ona z miski, po ciemku oglądając powtórki w TVN24 politycznego mruczanda prof. Śpiewaka. Chodzi jej o to, żeby widok strawy nie wzbudzał obrzydzenia zwierząt domowych, w tym mojego.

Czasem jednak widuję, jak przyrządza sobie papki. Np. biały ryż barwi na brunatno jakąś cieczą, wrzuca w to krewetki, kawior, grzyby, posiekaną cebulę, oliwki, śliwki, resztki niedojedzonego banana i miesza z oliwą. Sądząc z wyglądu tych dań, Daniszewska wydala je, zupełnie ich nie trawiąc. Kiedy jednak przychodzą goście, staje się niedościgłą mistrzynią kuchni i Magda Gessler może jej buty lizać. Aczkolwiek jej popisowy forszmak złożony z dziesięciu gatunków śledzi posiekanych z miodowym i ziołowym piernikiem także wygląda jak kał. À propos – za Polaków święci garnki lepią. Strojem narodowym Polaków jest sutanna. Na wschodzie Polski ludzie myślą cyrylicą. Różnica między skorpionem a Polakiem stanowi przedmiot naukowych poszukiwań. Daniszewska już w dwunastym pokoleniu używa palców do lepienia pierogów.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Chusta św. Weroniki** została wystawiona w Watykanie. Akurat św. Weronice sławę przyniosły jej siki.
- **PiS** zapowiada zakaz transkrypcji małżeństw jednopłciowych. W pierwszej kolejności trzeba zrobić porządek z poślubionymi z Jezusem.
- **„Wysokie Obcasy"** namawiają, aby zamiast wiosennych porządków iść do muzeum. Tak, Agora realnie rozwiązuje problemy zwykłych kobiet.
- **Kibice Cracovii** nazwali Nawrockiego Judaszem. Z postaci fikcyjnych Nawrocki chciał być Rocky.
- **Prezes PLK** powiedział, że zima mocno dała się we znaki pasażerom pociągów. To nie były jeżdżące kriokomory?
- **Szef Ryanaira** chce wprowadzenia limitu alkoholu na lotniskach. Lot ma być bez znieczulenia.
- **Przemysław Czarnek** żąda przeprosin dla Jana Pawła II. Kto pisał czynny żal do urzędu skarbowego, ten wie, o co chodzi.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Słuszna koncepcja

Prezes spółdzielni mieszkaniowej na jednym z bielańskich osiedli sprzeciwił się planowanej na tym osiedlu budowie stacji metra na czwartej linii. Rozesłał list do mieszkańców, w którym wskazuje, że (…) spowoduje to napływ obcych (…) z innych dzielnic i miejscowości podwarszawskich.

(…) To jest słuszna koncepcja. Osiedle najlepiej otoczyć murem (…), żeby żadni obcy się nie plątali, a już zwłaszcza wsiury spod Warszawy. Należy też wyprowadzić z niego komunikację i zabronić wjazdu samochodom, bo obcy mogą napływać nie tylko metrem (…).

Gdyby prezesa spółdzielni poparli inni, którzy już stacje metra na swoim terenie mają, zwłaszcza (…) w centrum miasta, to może nareszcie władze stolicy zrobiłyby porządek. Bo teraz to aż strach pomyśleć, ile obcych pałęta się po centrum. Przyjeżdżają tu nie wiedzieć po co z innych dzielnic i miast. Zlikwidowałoby się stacje metra i byłby święty spokój.

Czytelniczka

eprasa.pl cbc5cb04da

Pogrzebaliśmy i wygrzebaliśmy

Czarzasty w aktach Epsteina

Jak to jest możliwe, że nikt dotychczas nie zauważył w aktach Epsteina wątku związanego z aferą Rywina? Prawda: nie było to takie proste.

Po pierwsze – dokumenty z początku wieku pojawiają się w aktach ujawnionych przez amerykański Departament Sprawiedliwości nie za często i nie są najlepiej skatalogowane. Poza tym wyszukiwarka wyświetla słowo „Poland" prawie dwa tysiące razy i w sporej części tych zapisów chodzi o faceta nazwiskiem Marc B. Poland, który zajmował się sprzedażą helikopterów Sikorsky S-76. Można się zniechęcić. Reszta „Polandów" dotyczy werbunku dziewczyn i kobiet „w mieście o nazwie Kraków" – ten wątek bada od lutego specjalny zespół rządowy pod kierownictwem m.in. Żurka, a do kompletu Zespół Śledczy nr 5 w Prokuraturze Krajowej – i korespondencji Epsteina z kilkorgiem Polaków, w tym Wojciechem Fibakiem i paroma modelkami. Jedną z nich Jeffrey przekonywał, że trzeba nie mieć mózgu, żeby wierzyć w zamach smoleński – co dowodzi, że można być pojebanym zbokiem i rozsądnym człowiekiem jednocześnie.

Co więcej – nazwiska bohaterów afery Rywina, przywoływane w mailach wymienianych przez Epsteina z korespondentem/korespondentami (tego nie wiemy, bo ich dane zostały zamazane na czarno) pojawiają się z błędami. Ale znaleźliśmy.

Zaczyna się od maila wysłanego 1 lipca 2002 r. z konta jeevacation@gmail.com (to, jak ustalili śledczy, adres Epsteina, który najwyraźniej uważał, że życie to jedne wielkie wakacje) do nieujawnionego adresata.

Mail brzmi: „Historycy podają, że słowo »Polska« w języku hebrajskim wymawia się jako »Polania« lub »Polin«, a w transliteracji na język hebrajski nazwy te były interpretowane jako »dobry znak«, ponieważ słowo »Polania« można podzielić na trzy hebrajskie słowa: po (»tutaj«), ian (»mieszka«), ya (»Bóg«), a Polin na dwa słowa: po (»tutaj«) i lin (»[powinieneś] mieszkać«). Przekaz był taki, że Polska miała być dobrym miejscem dla Żydów. W okresie od rządów Zygmunta I Starego aż do nazistowskiego Holokaustu Polska znajdowała się w centrum żydowskiego życia religijnego". Epstein nie wyjaśnia, dlaczego w zasadzie postanowił uraczyć kogoś tą mądrością, ale z innej jego korespondencji – np. tej dotyczącej katastrofy smoleńskiej – można wywnioskować, że Polska go jakoś tam interesowała; zapewne ze względu na dziadka z Białegostoku.

Korespondent najwyraźniej uważa wykład etymologiczny za w pełni normalny, bo nie pyta „ki chuj", tylko odpowiada nawiązując do tematu: „Właśnie wracam z Polski, będę w NY 20 lipca, spotkanie?". Epstein odpisuje – krótko, jak to ma w zwyczaju – „Co jest?". Korespondent: „17,5 miliona baksów". Epstein: „Fistaszki" (co oznacza drobną, nieistotna sumę).

Tu korespondent wyraźnie próbuje przekonać Jeffreya – który właśnie zyskiwał opinię finansowego cudotwórcy – że polski rynek wart jest jego uwagi. „W 2002 Polska ma wzrost 1,4 proc., ale na 2003 jest prognoza 3,5, choć rządzą komuniści" – pisze, dodając, że w Poznaniu spotkał „uroczą blondynkę z silikonowymi cyckami". Upodobanie Jeffa do czternastolatek, które rzadko kiedy wyposażone są w silikon, nie było jeszcze wtedy tajemnicą publiczną.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Epstein – niezaskakująco, w kontekście tego, co dziś wszyscy wiemy – ignoruje silikonową przynętę i zadaje kilka pytań na temat źródeł pieniędzy, spodziewanego zwrotu na kapitale etc. Rozmówca odpowiada, że to

„prowizja z transakcji koncentracji rynku medialnego", mówił mu o tym „jego przyjaciel Leo Rivin", ale decydujący głos należy do kogoś, kto opisany jest jako „Chazzasti". „Może zaprosić go na wyspę?" – pyta Epstein. „On ma wąsy". „Zapomnij" – reaguje błyskawicznie Epstein.

Potem rozmówca pisze jeszcze, że „Chazzasti" to „komunista, ale zna się na pieniądzach", co różni go od innych „komuchów przegrywów" („commie losers"), z wyjątkiem „jednego Żyda z wielkimi uszami".

Cała ta wymiana miała miejsce między 8 i 15 lipca 2002 r. – czyli wtedy, kiedy sejm z eseldowską większością pracował nad przepisami dekoncentracyjnymi w ustawie medialnej, a Lew Rywin spotykał się z Wandą Rapaczyńską, żeby zaproponować jej wykreślenie z projektu zapisów uniemożliwiających Agorze – wydawcy „Gazety Wyborczej" – starania o zakup telewizji Polsat. Ceną – przypomnijmy – miało być 17,5 mln dolarów dla „grupy trzymającej władzę".

Po 15 lipca ten wątek korespondencji urywa się na długo. Dopiero 14 stycznia 2003 r. ktoś – prawdopodobnie ten sam korespondent, ale tego nie wiemy, bo nazwisko i adres nadal są zamazane – pisze do jeevacation@gmail.com: „Sprawa z Polski nieaktualna, gówno trafiło w wentylator, w parlamencie komisja śledcza, Rivin pójdzie siedzieć". „A Chazzasti?" – zainteresował się Epstein, „Wrzuci Rivina pod autobus" (to anglojęzyczny odpowiednik naszego idiomu „wyrzucić z sań") – odpisał znawca polskich realiów. „Nigdy nie ufaj facetowi z wąsami" – podsumował Jeff.

Jak już wspominaliśmy: zbok, ale rozsądny.

AWŁ

Złote myśli Polaka

Czy uwierzycie, że inna polityka jest możliwa?

GADMAN

Bliskowschodnie wojny prezydenta Trumpa wywołały kryzys ekonomiczny. Wzrost cen benzyny i oleju opałowego na całym świecie. Ale dla Polaka patrioty to Polska jest najważniejsza.

Dziś nie wiemy jeszcze, jak bardzo Polacy zbiednieli na polityce obecnego amerykańskiego prezydenta. Na pewno nie wzbogacili się. Tak droga benzyna jak teraz ostatni raz była w Polsce podczas okupacji niemieckiej. Za to i kilka jeszcze innych zbrodni Niemcy powinni wypłacić Polakom należne reparacje. Starannie wyliczył je pan poseł, obecnie eurodeputowany, Arkadiusz Mularczyk z PiS. Opracowane pod jego nadzorem grube raporty o niemieckich zobowiązaniach kazał nawet przetłumaczyć na angielski. Aby Niemcy łatwiej je przeczytali i lepiej zrozumieli. Dużo pieniędzy budżetowych na to poszło, ale wojna kosztować musi. Zwłaszcza że zapowiada się na wieloletnią, bo chytre Niemiaszki nie chcą od razu wywiesić białej flagi.

Pomimo niemieckiej chytrości prominenci PiS ciągle obiecują Polakom, że kasę z Niemców wycisną. Jeśli nie w formie reparacji, bo wtedy trzeba by zdobyć Berlin, a w to już nawet najgłupszy wyborca PiS nie uwierzy, to grosz jakiś można wyrwać jako niemieckie zadośćuczynienie. W tym celu aktywiści PiS chcą Niemców tak zawstydzić moralnie, permanentnie i na każdym kroku, aby dalej już z tym wstydem Niemcy żyć nie mogli. Aby codziennie dręczyła ich ta moralna zadra.

Skoro polscy zawodowi patrioci mogą tak pogrywać z Niemcami, to czemu nie zacząć podobnie z Amerykanami? Też ich molestować moralnie. Zawstydzać przy każdej okazji. Puławskiego i Kościuszkę przypominać, bo przecież zasług ich w pełni nie spłacili. Oczywiście wobec administracji waszyngtońskiej nie można tak z buta zażądać reparacji wojennych. Bo takie są możliwe jedynie, kiedy nasze wojska okupują ich terytorium. Waszyngtonu armia polska jeszcze nie zdobyła. Zaś wojska USA są już na naszym terytorium. Bo polskie władze oddały im je bez walki. Kolejnego Westerplatte nie było. Formalnie taka obecność obcych wojsk to ograniczenie suwerenności państwa polskiego. Wartości najdroższej dla PiS-patrioty, wyższej nawet niż wyliczone Niemcom reparacje. Dodatkowo budżet państwa polskiego płaci za utrzymanie każdego amerykańskiego żołnierza. Drogo, bo w dolarach amerykańskich. A dolar umacnia się wobec złotówki, od kiedy Izrael i USA napadły na Iran.

Armie do przetargu

Oczywiście rzec można Polakom, że wojska USA to nasz parasol bezpieczeństwa przed napadem wojsk rosyjskich i białoruskich. I jak zawsze dodać, że bezpieczeństwo Polski jest warte tego. Ale, warto też zauważyć, że nie brak innych wojsk na tym na świecie. Nie wszystkie armie napadły teraz na Iran. Są takie, które aktualnie nie zabijają. A władze polskie od razu wybrały wojska amerykańskie. Choć wcześniej mogły przynajmniej ogłosić przetarg. Na obronę Polski przed obcą agresją. Dla wszystkich armii formalnie, z uczciwie zaprezentowanymi warunkami. Oczywiście Niemców i Rosjan trzeba by jakoś w warunkach przetargu od razu wykluczyć.

Dzięki takiemu przetargowi mogłoby się okazać, że inne wojska mogłyby być tańsze, a tak samo potencjalnych agresorów odstraszające. Na pewno chińska armia wzięłaby za taką usługę mniej. Choć czasy, kiedy Chińczycy broniliby nas za miskę ryżu, minęły niestety. Ale gdyby zaproponować im miskę plus, to za dwie miski pewnie by się skusili. Poza tym w czasie negocjacji strona polska mogłaby wyciągnąć asa z rękawa.

Wojska wietnamskie. Wietnamczycy dowiedli, że mogą pokonać nawet wojska USA. A wcześniej pokonywali armie francuską, japońską, kambodżańską i chińską też. Są równie waleczni jak kiedyś Polscy. Wietnamczycy dowiedli też, że świetnie się w Polsce integrują. Lepiej mówią po polsku niż Polacy po wietnamsku. Na pewno byliby tańsi w utrzymaniu od armii amerykańskiej. Zwłaszcza że w chwilach wolnych od odstraszania agresorów zakładaliby kolejne bary z zupą pho i sajgonkami. Armia wietnamska, jak każda władza w Polsce, potrafiłaby się sama wyżywić.

Żydzi, zapłaćcie!

Warto przypomnieć, że wojska USA napadły na Irak jako podwykonawcy armii Izraela. Nie traktujcie, proszę, tego postulatu jak nowego przejawu starego genetycznego, polskiego antysemityzmu. Ale polskie elity polityczne powinny zażądać przynajmniej zadośćuczynienia od elit politycznych Izraela. Za wywołany przez ich wojsko światowy wzrost cen benzyny i gazu. Obecny – do przeszłości nie warto wracać. Przeszłość oddzielamy grubą kreską. Jednak dzisiejsi izraelscy Żydzi mogliby za skutki swej polityki zapłacić. Zwłaszcza że biedni nie są. Stać ich na to. Jednak polskie elity polityczne zgodnie milczą. Choć nie mamy na polskim terytorium izraelskich żołnierzy. Choć mniejszość żydowska jest w Polsce mniejsza niż niemiecka. A jedzenie w żydowskich knajpach gorsze jest niż w wietnamskich. No, poza karpiem po żydowsku i pipkami. Jednak przyznać trzeba uczciwie, że zdrowsze jest od niemieckiego i amerykańskiego.

Pomimo tego wszystkiego polskie elity polityczne boją się nawet pisnąć w kwestii izraelskiej odpowiedzialności za obecne światowe kryzysy. Strach im przed reakcją JE Thomasa Rose'a, amerykańskiego ambasadora USA w Polsce? Boją się, że czeka ich los irańskich przywódców duchowych i wojskowych? A przecież już samo hasło wyborcze „Żydzi, zapłaćcie!" gwarantuje każdemu komitetowi wyborczemu w dzisiejszej Polsce dwucyfrowy wynik w najbliższych wyborach parlamentarnych. Dający kilkadziesiąt mandatów w przyszłym sejmie i udział w każdych przyszłych koalicyjnych rządach.

Złoto prezesa

W przyszłorocznym budżecie zabraknie setek miliardów złotych na ambitny program polskich zbrojeń odstraszający podstępnego agresora. W następnych latach wydatki będą jeszcze rosły, a budżetowe wpływy nie. Bo prezydent Nawrocki obiecał, że zawetuje każdą ustawę podnoszącą podatki w Polsce. I raz danego słowa do końca swej kadencji na pewno dotrzyma.

Trzeba pesymistycznie powiedzieć, że Niemcy nie zawstydzą się tak moralnie, jak elity PiS oczekują, i nie wypłacą Polakom godnego zadośćuczynienia. Amerykanie też rabatu za utrzymanie swych wojsk polskiemu budżetowi nie udzielą. Nawet na kartę stałego klienta. Od Żydów można zażądać kasy, ale jedynie po to, by zwabić tym patriotycznych wyborców. Żaden rozsądny Polak nie uwierzy w bezinteresowną dobroczynność izraelskich elit politycznych.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Dzielni Polacy znów zostaną sami ze swymi budżetowymi problemami. Nawet pożyczka SAFE zaciągnięta pod żyro aktywów Unii Europejskiej nie pokryje w pełni przyszłych polskich wydatków zbrojeniowych. Dlatego trzeba sięgnąć po złoto prezesa Glapińskiego. Jak zapewne wszyscy już w Polsce wiedzą, i na świecie też, w skarbcach Narodowego Banku Polskiego leżą tony złota. Bezczynnie. Bezużytecznie, bo moda na złote zęby minęła. Polscy Żydzi też nie chcą go kupować, bo już nie muszą wypłacać się szmalcownikom. Nic dziwnego, że pojawiły się już pomysły, żeby to złoto, bezsprzecznie polskie, przemienić w uzbrojenie polskiego wojska. Wszystkie dotychczasowe są jednak obarczone wadami.

Pomysł, aby część tego złota korzystnie sprzedać i kasę przeznaczyć na wojsko, upadł. Bo prezydent Nawrocki i elity polityczne PiS uważają, że każda sztaba tego złota to gwarancja polskiej suwerenności. I nie chcą sprzedać tego suwerennego złota, nawet w imię suwerenności ocalenia. Proponują za to, na zasadzie „mieć ciastko i zjeść to ciastko", wydrukowanie pieniędzy pod wykreowane przez księgowych NBP zyski z różnic realnie kupionego złota i nierealnie sprzedanego. Na to nie chcą się zgodzić księgowi z rządowego ministerstwa finansów.

Dlatego proponuję rozwiązanie, które pogodzi wszystkich i wszystkich też usatysfakcjonuje: powołanie Wielkiej Loterii Narodowo-Patriotycznej.

Każdy Polak, i obywatel polski też, będzie mógł kupować losy tej patriotycznej loterii. Zyski z niej będą przeznaczane na zbrojenia polskiej armii. Do wygrania będą sztaby polskiego złota z narodowego skarbca NBP.

Najcenniejsza dla polskiego patrioty nagroda. Wylosowane przez szczęśliwców sztaby pozostaną w skarbcach NBP. Ze względów bezpieczeństwa, aby nie wpadły w rosyjskie lub niemieckie łapy. Zwycięzcy nie zostaną jednak z pustymi rękami. Otrzymają bowiem pięknie wydrukowane certyfikaty z podpisami prezydenta, premiera lub prezesa Kaczyńskiego. Wedle życzenia zwycięzców.

Loteria będzie wielce dochodowa, jak każda gra losowa lub kasyno. Zapewne aby zoptymalizować jej koszty, posiadacze wygranych sztab będą też ponosić koszty przechowywania swych wygranych w skarbcach. Symboliczne, rzecz jasna.

Polacy kochają symbole, ponad wszystko.

PIOTR GADZINOWSKI

PS Mam w swym skarbczyku jeszcze wiele nietuzinkowych pomysłów. Następne za rok, też pierwszego kwietnia.

eprasa.pl cbc5cb04da

TVN na celowniku

Nad ulubioną telewizją liberałów zbierają się chmury

27 lutego Paramount Skydance podpisało umowę o przejęciu Warner Bros. Discovery. Transakcja opiewająca na blisko 110 mld dol. stworzy nowego giganta medialnego. Finalizację przejęcia zaplanowano na koniec września 2026 r. Jednym z dzieci WBD jest stacja TVN. Niby ruch biznesowy jakich wiele, ale w Polsce mogą z niego wyniknąć niezłe jaja.

America first

Kiedy fuzja zostanie ostatecznie przyklepana, powstanie konglomerat medialny z połączonymi platformami streamingowymi (Paramount i HBO Max), dwoma studiami filmowymi, bibliotekami treści oraz szeregiem kanałów tematycznych i informacyjnych. Właściciel Paramount Skydance David Ellison zapowiedział zachowanie odrębności operacyjnej obu firm i ochronę miejsc pracy. Mimo to transakcja budzi obawy o nadmierną konsolidację rynku, utratę konkurencji i niezależność redakcyjną stacji newsowych. David Ellison, CEO Paramount Skydance, i jego ojciec Larry, miliarder z firmy technologicznej Oracle, należą do najbliższych sojuszników Donalda Trumpa w biznesie i tech mediach.

Rodzina Ellisonów nie ukrywa ambicji budowania imperium medialnego z wpływem na opinię publiczną. Mają ku temu wszelkie narzędzia. Larry Ellison to 81-letni współzałożyciel i główny akcjonariusz Oracle, globalnego giganta z Doliny Krzemowej tworzącego systemy zarządzania danymi oraz infrastrukturę chmurową. Wartość firmy szacuje się na ponad 460 mld dol. David Ellison założył firmę Skydance Media, a po fuzji z Paramountem przejął kontrolę nad stacją CBS, studiem Paramount Pictures i innymi aktywami medialnymi. Panowie tworzą dynamiczny duet: ojciec dostarcza kapitał i koneksje, syn zarządza Hollywood. Romans rodziny Ellisonów z Trumpem sięga co najmniej 2020 r. Ellison senior był gospodarzem dużych i hucznych zbiórek funduszy na rzecz kampanii Trumpa, brał też udział w budowaniu strategii podważenia wyników wyborów prezydenckich przerżniętych przez idola. Głowa USA publicznie nazywa Larry'ego przyjacielem. Amerykańskie media robią sobie podśmiechujki, że miliarder mieszka w ogródku prezydenta, bo Larry Ellison w 2022 r. zaczął kupować luksusowe posiadłości w rejonie Palm Beach na Florydzie, a na swoją główną rezydencję wybrał posiadłość w Manalapan – położoną zaledwie o kilkanaście minut jazdy od Mar-a-Lago, rezydencji Trumpa. Ciepłe relacje dały owoce.

W prawo zwrot

Donald Trump osobiście wybrał Ellisonów do roli kluczowych graczy w sprawie TikToka i pomógł miliarderom w uzyskaniu rządowych aprobat dla fuzji Paramount oraz pożarcia Warner Bros. Discovery. David Ellison miał obiecać prezydentowi daleko idące zmiany w należącym do WBD CNN, by zyskać przychylność administracji. Trump publicznie chwalił te deklaracje i mówił, że Ellison zrobi to dobrze. Miał ku temu podstawy. Kiedy w sierpniu 2025 r. Skydance Media przejęło Paramount, Ellison junior nadał ichniejszemu odpowiednikowi TVN24 nieco bardziej „centrowe" barwy. Mianował Bari Weiss, założycielkę antylewicowego, proizraelskiego, sprzyjającego konserwatywnym miliarderom The Free Press, szefową redakcji CBS News. Strażnikiem etyki dziennikarskiej w stacji uczynił natomiast Kennetha R. Weinsteina, byłego prezesa think tanku Hudson Institute, również konserwatywnego. CBS skręciło bardziej na prawo, ale tak, żeby nie wywołać popłochu wśród dotychczasowych widzów: mniej krytyki administracji, łagodna ocena działań prezydenta itd. Według doniesień „Wall Street Journal" Ellison obiecał Trumpowi identyczny manewr w CNN po chapnięciu Warner Bros. Discovery.

Ellisonowie nie zawsze bywają subtelni. Oracle stała się kluczowym partnerem w przedsięwzięciu, które – mówiąc skrótowo – uratowało TikToka przed całkowitym banem w USA. W efekcie amerykańscy inwestorzy przejęli 80 proc. udziałów socjalowego burdelu. Oracle już wcześniej zajmowała się przechowywaniem danych amerykańskich użytkowników platformy na swoich serwerach, by chronić je przed dostępem Chin. W nowym rozdaniu dostała kopię algorytmu rekomendacji. Dzięki temu (a właściwie dzięki Trumpowi) Ellison zyskał wpływ na to, co widzi blisko 200 mln Amerykanów na TikToku. Albo czego nie widzi… Już pojawiają się doniesienia, że widoczność filmów krytykujących republikanów jakby zmalała.

Wiatr zmian

Czy medialnych baronów może obchodzić zapyziała stacyjka z Europy Wschodniej? Oczywiście, choć żaden z ruchów, jakie mogą wobec niej wykonać, nie jest wcale taki oczywisty.

Wbrew mokrym snom polskiej prawicy TVN nie przemaluje się na drugą Republikę. Radykalna zmiana linii programowej tego kalibru medium mogłaby odstraszyć najwierniejszych widzów, a jak wiadomo, widz to pieniądz.

Może nowa miotła smagnie dziennikarskie grzbiety pod bardziej polaryzujące narracje. Kontrowersje sprzedają się lepiej niż przyjacielskie klepanie po plecach.

Gorszym i realniejszym scenariuszem zdaje się sprzedaż bajzlu. Jest to na ten moment sytuacja czysto hipotetyczna, ale umówmy się: TVN nie jest kluczowym aktywem dla nowego giganta.

Stacja jest jedną z wielu spółek zależnych od WBD, a formalnie kontrolę nad nim sprawuje holenderska spółka pośrednia Discovery Communications Benelux B.V. Gdyby Ellisonowie stwierdzili, że chcą zmniejszyć zadłużenie nowej grupy i skupić się na lepszych kąskach, musieliby wykonać kilka ruchów. Po pierwsze zaczekać na sformalizowanie fuzji, co jeszcze trochę potrwa. TVN od końca 2024 r. znajduje się na rządowej liście podmiotów chronionych (rozporządzenie Rady Ministrów jest ważne do 2027 r.). Wskutek tego każdy potencjalny nabywca musi złożyć zawiadomienie do ministra aktywów państwowych i dostać zgodę na udział w zabawie. Jeśli rząd położy na kupcu laskę, transakcja stanie się nieważna, a Ellisonowie zostaną zobowiązani do sprzedaży spółki komu innemu w terminie określonym przez polskich polityków. Mogą też sprzedać całą holenderską spółkę pośrednią, wtedy transakcja dokona się poza Polską, a polski rząd będzie miał pod górkę z interwencją.

Wróćmy jednak do pierwszego wariantu. Kupcem mógłby być prywatny inwestor albo inny koncern medialny. Gdyby do (hipotetycznej wciąż) sprzedaży doszło w 2027 r. po wygranych przez prawicę wyborach, stację najpewniej kupiłaby jakaś spółka skarbu państwa i wtedy dopiero TVN i jego widzowie mieliby przejebane. Póki co transakcja tkwi w fazie oczekiwania na zatwierdzenie m.in. przez Departament Sprawiedliwości USA i Komisję Europejską. Żadna ze stron politycznych nad Wisłą jeszcze nie ma powodów do radości.

IDALIA DUBICKA



Rys. WIDGET

Czyja prawda całą dobę?

Prompter i właścicielska pała

Newsroom TVN: redaktor promptera siedzi w półmroku reżyserki jak operator ruchu lotniczego, tylko zamiast samolotów ma zdania, a zamiast życia pasażerów ma w swoich rękach prawdę. Na ekranie przewijają się słowa, które za chwilę wypowie prezenter – a on palcem na klawiaturze rozstrzyga małe dylematy wielkiej władzy: czy powiedzieć „rząd naciska", czy „rząd komentuje"; czy nazwać coś „skandalem", czy tylko „kontrowersją"; czy w ogóle dopuścić jedno zdanie, które psuje obraz świata wygodny dla zarządu stacji, reklamodawców i „politycznie wybranego widza". I nie, to nie jest tak, że jedne fakty dostają światło, a inne grzecznie czekają na swoją kolej. One lądują w koszu. Bo są nieprawomyślne. Bo media – zwłaszcza te uchodzące za wiarygodne – rzadko kłamią wprost. One częściej zarządzają pominięciem. To jest miękka władza, która działa jak ciepły koc: nie dusi, tylko otula mózg i szepcze mu do ucha: śpij, wszystko jest w normie, nic więcej nie musisz wiedzieć.

I teraz wyobraź sobie, że nad tym redaktorem, nad wydawcą, nad dyrekcją i nad całą tą codzienną kuchnią „wiarygodności" pojawia się nowy zarząd – politycznie urobiony przez trumpowski świat, dla którego informacja jest narzędziem dyscyplinowania mózgów, a „nieprawomyślność" nie jest już tylko rzeczą do przemilczenia, lecz do rozjechania trumpopropagandą. Wersja premium tego, co już znamy: mniej pominięć z wyczuciem, więcej twardej linii, a kiedy trzeba – kłamstwo bez rumieńca. Bo kiedy właściciel staje się podmiotem wojny frakcyjnej w klasie miliarderów, prompter przestaje być tylko narzędziem telewizyjnym. Staje się interfejsem do zarządzania naszymi głowami.

Spór o TVN dawno wyjechał z Warszawy

No dobrze, powiesz: ale przecież u nas to spór o koncesje, KRRiT oraz o to, czy „oni dokręcą śrubę" i o cały ten narodowy teatrzyk. Otóż nie. Prawdziwy spór o TVN dawno wyjechał z Warszawy i rozgościł się w gabinetach, gdzie nikt nie mówi po polsku – negocjują tam nie ludzie mediów, tylko prawnicy od fuzji, zarządcy długu i polityczni pełnomocnicy prezydenta obcego mocarstwa. TVN stał się częścią Warner Bros. Discovery, czyli polskiego oddziału globalnego koncernu. A sam Warner stał się właśnie nagrodą w przetargu między wielkimi graczami: Netflixem i Paramount Skydance, za którym stoi rodzina Ellisonów – politycznie bliska Trumpowi. I nagle nasze polskie okładki z hasłem „wolne media" wyglądają jak plakat z lokalnego festynu przy gminnej drodze: ładny, kolorowy, tylko że ruch odbywa się gdzie indziej.

„Miły dodatek", czyli bilansowa kultura

Fakty z tej wojny oligarchów są proste. Netflix zrezygnował z przejęcia Warnera, bo uznał, że podbijanie oferty do poziomu konkurenta, czyli Paramount Skydance, zwyczajnie przestało się opłacać. Zarząd Warnera uznał tamtą ofertę za lepszą. Netflix natomiast, z miną człowieka, który właśnie demonstruje światu moralność poprzez księgowość, powiedział: Warner Bros. Discovery byłby „miłym dodatkiem", ale nie koniecznością. Czyli: kultura, informacja, praca tysięcy ludzi – *nice to have*. Jak dodatkowy garaż w apartamentowcu aktywów.

„Miły dodatek"? Zatrzymajmy się przy tym, bo to jest przypadkowo wypowiedziana prawda pośród korporacyjnej liturgii. Całe studio filmowe. CNN. HBO. Biblioteka kultury. Tysiące pracownic i pracowników. Dorobek, pamięć, warsztat, relacje, redakcje, montaże po nocach, spocone dłonie przed wejściem na antenę, ludzie od świateł, od dźwięku, od dokumentacji, od wszystkiego, czego nie widać, bo na ekranie świeci tylko twarz prezentera. To wszystko ma być tylko „miłym dodatkiem".

Antymonopol dla swoich

I tu wchodzi cały na biało amerykański „antymonopol" z powagą, której w praktyce nie potwierdza nic poza własną miną. Słyszymy o „intensywnej kontroli", o Departamencie Sprawiedliwości, o przeglądach, o prokuratorach. A z tyłu sceny już stoją liczby: miliardy „synergii" i, jak zawsze, oczekiwane cięcia kosztów przez zwolnienia.

Synergia – słowo, które w prezentacji dla inwestorów brzmi jak harmonia, a w życiu pracownic i pracowników newsroomu oznacza coś odwrotnego: mniej etatów, mniej redakcji, mniej czasu, więcej lęku przed redukcją i więcej autocenzury.

Tylko że o tym w antymonopolowym teatrze mówi się szeptem albo nie mówi się wcale. Bo antymonopolowa retoryka w tej historii nie służy ochronie widzów ani pracowników. Ona służy rozgrywaniu sporów wewnątrz klasy właścicieli – i legitymizuje kolejną falę koncentracji, pod warunkiem że przeprowadzą ją „nasi". Antymonopol to tylko eleganckie słowo na brudną bójkę bogaczy.

Polityczka widzi problem, ale nie rusza klatki

Elizabeth Warren – amerykańska senatorka, figura „parlamentarnej lewicy" w kraju, w którym lewica musi chwalić „przyzwoitość rynku", żeby w ogóle wpuszczono ją do pokoju – nazywa tę fuzję katastrofą antymonopolową i ostrzega, że kilku protrumpowskich miliarderów próbuje przejąć kontrolę nad tym, co ludzie oglądają i ile za to płacą. To trafne rozpoznanie politycznego kontekstu: regulacja rynku staje się regulacją lojalności.

Ale Warren, jak to lewica instytucjonalna, proponuje rozwiązanie w ramach tej samej klatki: „więcej konkurencji", „mniejszą koncentrację", „lepszy wybór". A ja pytam w imieniu wszystkich, którzy w tej klatce sprzątają po cudzych zyskach: dlaczego media masowe w ogóle są prywatne? Dlaczego narzędzia produkcji kultury i informacji mają należeć do miliarderów, którym można co najwyżej wybierać patrona w Białym Domu, ale nie odebrać władzę?

Bo nie ma „dobrego kapitalisty medialnego". Jest tylko wybór między miliarderami z takim czy innym patronem. Netflix nie jest żadną progresywną alternatywą: to także kapitalista, który uznał,



Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl cbc5cb04da

Knura musielim do roboty wygonić

„NIE” rozmawia z posłanką partii Razem MARCELINĄ ZAWISZĄ



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Pani poseł, spotykamy się z okazji przyznania pani honorowego członkostwa w Federacji na rzecz Rozwiązania Problemu Bezdomności.

– Jo bardzom wdzięczno za tyn gest, choć powiym szczerze: we Polsce nagrody za godanie ô bezdomności majōm w sobie coś z ponurego humoru. My umiymy robić konferyncje, federacje, panele i apele, ale z tym, coby ludzie przestali lōndować na bruku, idzie nōm jak krew z nosa. Bezdomność niy je żodnym marginalnym „problemym społecznym”, ino brutalnym dowodym na to, że państwo, samorządy i rynek mieszkaniowy przez lata zawaliły sprawa po całości. Jo bym jednak wolała żyć w kraju, kaj takie federacje miałyby cołkiym miyj roboty.

– Czemu pani tak dziwnie mówi?

– Jo już wole ćwiczyć ślōnski, bo nigdy niy wiadomo, kaj mie na te listy rzucōm. Dzisio federacja, jutro objazd po Polsce, a pojutrze sie ôkaże, że Katowice trzeba brać na klata i godać tak, coby ludzie niy patrzyli na mie jak na delegatkã z Warszawy. We polityce nojlepszo je być gotowōm na wszyjsko.

– To naprawdę tak działa, że człowiek się budzi i nie wie, z którego okręgu będzie kandydował?

– We polityce fto rano je „naszom twarzōm regionu”, tyn wieczorym może być już „elastycznym zasobym kadrowym”. U nos czasym niy polityk wybiyro ôkręg, ino ôkręg spado na polityka jak dachówka. A wszyjscy udowadniajōm, że tak właśnie miało być ôd poczōntku, bo przecie wszystko je wynikiem strategii, a niy paniki, ambicji i telefonu ô jedenastyj w nocy.

– Czyli kandydat nie ma nic do gadania?

– Mo. Mo prawo być poinformowany, że decyzja już zapadła. To je tyn piykny dialog wewnōntrzpartyjny, kaj możesz wyrazić swoje zdanie, a potym usłyszeć, że bardzo cenne, ale sytuacja je dynamiczno. Jak je bałagan, to sie godo, że dynamika. Jak je chaos, to że proces.

– A Śląsk? To byłby trudny teren?

– Trudny? Niy, raczyj niewygodny dlo tych, co myślōm, że wystarczy przyjechać z Warszawy, zrobić dwa zdjęcia z familokym i już człowiek zapuścił korzynie. Śląsk od razu wyczuje, czy godo do niego ktoś, kto chce słuchać, czy ktoś, kery przyjechoł sie przypisać do mapki wyborczyj. I bardzo dobrze. Bo polityków wycieczkowych momy w tym kraju aż nadto.

– Czy lewica nie ma z tym problemu, że często wygląda na bardzo warszawską?

– Ôczywiście, że mo. Czasym wyglōndo tak, jakby cało Polska składała sie z trzech dzielnic, czterech debat i pięciu znajomych nazwisk. Potym wielkie zdziwiynie, że ludzie poza stolicōm patrzōm na to jak na serial ô klasie średnij, a niy jak na ofertã politycznō dlo siebie. Jak polityka traci kontakt z codziennościōm ludzi, to zaczyno nadrabiać tonym i moralnym wyższyństwym. A to je zły znak.

– Ale przecież pani uchodzi za jedną z bardziej terenowych polityczek.

– To już chyba bardzij źle świadczy ô reszcie niż dobrze ô mie. U nos za „terenowość” uchodzi czasym to, że polityk umie wysiōńść z auta, wejść do świetlicy i niy zemdleć ôd zapachu zwykłego obywatela. Poprzeczka leży nisko. A przecie to powinno być normalne, że polityka niy robi sie wyłōcznie z telewizora i Twittera.

– A kampania Zandberga? Wygląda na to, jakby wreszcie wtedy ruszył do roboty.

– No widzisz, widocznie musielim w końcu knura szturchnōńć, coby sie ruszył z tej politycznyj zagrody i przypōmnioł se, że kampania to niy je stan kontemplacji, ino robota. Adrian mo tyn dar, że jak już godo, to pół lewicy dostaje rumiynców z zachwytu, ale jak trza regularnie wyjść do ludzi, to czasym wyglōndo, jakby go odrywali ôd bardzo ważnego myślynio ô dziejach świata. I bardzo dobrze, bo polityk niy je ôd tego, coby stać na półce jak porcelanowy świnty, ino coby zapierdalać.

– Ale może właśnie na tym polega jego siła, że nie biega wszędzie jak nakręcony?

– Jasne, można to sprzedać jako głymbiã. Jak ftoś mało godo, to zaroz robi sie z tego strategia mędrca. A prawda je prosto: musieli knura zmusić do roboty, to poszoł. I jo to nawet szanujã, bo we polityce czasym niy ma co czekać na natchniynie, ino trza wstać i robić.

– Czyli problemem Zandberga jest lenistwo?

– Niy, bardzij rodzaj dostojnyj ociyżałości. Taki etos chłopa, co wyglōndo, jakby kożde wyjście do ludzi było aktem łaski wobec społeczyństwa. A polityka niy polego na tym, że raz na jakiś czas rzucisz zdanie, kerym internet sie zachwyci. Polityka to je tyż nudno, powtarzalno robota. Do codziennego zapierdolu trza mieć charakter robotnika, a niy pomnika.

– Kampania jednak podzieliła lewicę. Czarzasty jest w rządzie, was przed kampanią opuściło grono posłanek.

– Ale jo tyż niy kupujã tego płaczu, że „kampania podzieliła lewicã”. Niy, złotka. Kampania niczego niy stworziła, ino ôdsłōniła to, co już ôd dawna leżało pod dywanem: różnice interesōw, charakterōw, metod i zwykły głōd stołkōw. Jak coś sie sypie przod samym marszym, to niy z winy marszu, ino dlatego, że cało konstrukcja już wcześnij stała na słowo honoru i taśma klejōnco.

– A Czarzasty? Jak pani patrzy na jego rolę?

– Czarzasty wybroł starō szkoła polityki: lepiej być przy stole z ministrym niż pod ścianōm z transparentym. Jo to rozumiã, bo władza kusi.

Problem w tym, że jak za długo siedzisz w cudzym rządzie, to w końcu przestajesz być lewicōm przy władzy, a zaczynosz być ôzdobnym alibi dlo władzy, co robi swoje. Bardzo łatwo pomylić dostymp do gabinetu z wpływym na kierunek.

– Czy dlatego Razem powinno iść do wyborów osobno?

– Jo myślã, że tak. Jak już iść do ludzi, to z własnō twarzōm, a niy jako przypinka do cudzego garnituru. Lewica, kero co chwila sie do kogoś doklejo, kończy przeważnie jak dekoracja – mo być widoczno, ale niy za bardzo słyszalno. A jo wola prostszō uczciwość: albo robisz swojã polityka, albo robisz za ôzdobã do cudzyj.

– Samodzielny start nie jest jednak ryzykowny?

– Ôczywiście, że je. Ale polityka bez ryzyka kończy sie tym, że człowiek coroz bardzij pilnuje stołka, a coroz miyj sensu tego, po co na nim siedzioł. Jak przegrywać, to po swojymu. Jak wygrywać, to tyż po swojymu.

– Miała już pani kiedyś spięcie z Czarzastym.

– Jo z nim niy mom potrzeby odgrywać politycznego teatru uprzejmości. Kiedyśech mu nawet rynki niy podała i to była jedna z moich bardzij szczerych parlamentarnych decyzji. Są ludzie, z kerymi sie możesz różnić, ale zachować jakiś poziom szacunku. A są tyż tacy, co z polityki robiōm handel, z zasad gumã do żucio.

– A dziś? Podałaby mu pani rękę?

– Teroz to mu co najwyżyj mogã pokazać dupã do wąchanio, bo na wiyncyj czułości z mojij strony już zwyczajnie niy zasłużył. We polityce można sie żreć, ale dobrze by było niy robić z lewicy komisu z używanymi zasadami.

– To brzmi tak, jakby w polskiej lewicy było więcej urażonych ambicji niż realnej polityki.

– Bo często tak właśnie je. U nos za kożdym wielkim sporym ideowym stoji przeważnie coś bardzo przyziymnego: miejsce na liście, dostymp do mikrofonu, urażōne ego abo marzynie, coby być tym jednym, prawdziwym sumieniym lewicy. Połowa energii, kero mogłaby iść na walkã ô mieszkania, płace i usługi publiczne, idzie na fochy, urazy i polityczne teatrzyki.

– To co dziś byłoby najważniejszym zadaniem dla Razem?

– Przestać być środowiskiym, kery cieszy sie, że mo racjã, i zacząć być siłōm, kero umie z tej racji zrobić użytek. Mniej wzdychanio do własnej czystości, wiyncyj roboty. Mniej mitologii wokōł postaci, wiyncyj dyscypliny. Jak trzeba iść samymu, to iść samymu.

– To na koniec: jaka będzie ta wasza lewica po tym wszystkim?

– Albo samodzielno i dorosło, albo żodna. Albo sie nauczy, że polityka to niy emocjonalny pamiętnik, ino robota zbiorowo, albo znowu rozlezie sie na frakcje, deklaracje i wzajymne pretensje. Albo coś zbudujymy, albo bydymy dali produkować zawód. A zawodu to ludzie majōm już w tym kraju po kokardã.

Rozmawiał **DAMIAN DUSZCZENKO**

że ryzyko regulacyjne i skala transakcji nie są warte zachodu. Paramount z Ellisonami nie jest zaś żadnym „konserwatywnym potworem” z innej planety: to ten sam mechanizm, tylko z innymi kontaktami politycznymi i inną zdolnością do ustawiania regulacji pod siebie. I jeśli do tego dołożymy obraz nacisków politycznych ze strony Białego Domu – grożenie konsekwencjami, żądanie czystek w zarządach – to widać wyraźnie, że antymonopol jest tu raczej bejsbolową pałą w rękach jednych możnych przeciw drugim niż parasolem nad obywatelami.

Wolne media, wolne do sprzedaży

A teraz wróćmy do naszego TVN, tego „bastionu wolności” według polskich komentarzy. W 2025 r. Warner Bros. Discovery po strategicznym przeglądzie zdecydował, że polskiego TVN-u nie sprzeda – przynajmniej na razie. Ale „na razie” w języku korporacji znaczy: do następnej wyceny aktywów i kolejnej projekcji zysków. Jeśli Paramount Skydance przejmie WBD, będzie miał prawo do następnego „przeglądu aktywów”. I nagle TVN, Player, TVN24 GO oraz cały ten symboliczny kapitał „stacji, która stawiała opór PiS” może się okazać po prostu narzędziem promocji kapitału i polityki USA. Zasobem, który da się przesunąć, przyciąć, spieniężyć albo wchłonąć. Wolne media – wolne do sprzedaży, wolne do propagandy.

I wtedy to, co dziś jest w TVN najbardziej charakterystyczne – ta miękka władza pomijania, ta „elegancka selekcja” tematów i emocji – może zostać zastąpione czymś bardziej brutalnym. Nie tylko pominięciem, ale programowym zarządzaniem mózgami w wersji trumpowskiej: bardziej wojennej, bardziej plemiennej, bardziej skłonnej do kłamstwa. Bo prompter to nie jest neutralny ekran. To jest miejsce, w którym polityka spotyka się z własnością. A własność spotyka się z interesem nadawcy.

Niezależność – tylko czyja?

Polska debata lubi proste opozycje: „TVP – partyjna, TVN – niezależny”. Tylko że w zestawieniu z amerykańską sagą Netflix–Paramount–Trump–WBD ta opozycja wygląda jak malowanie płotu, kiedy dom już dawno zmienił właściciela.

W TVP o linii decyduje aktualna większość polityczna i jej aparat. W TVN – zarząd koncernu i jego relacje z władzą w Waszyngtonie.

Różnica jest klasowa: TVP to telewizja narodowego kapitalizmu, a TVN – globalnego kapitalizmu, gdzie zamiast partyjnego funkcjonariusza dzwoni prawnik z Nowego Jorku, bo to tylko lokalny odprysk wojny między miliarderami.

Dla pracowników oznacza to zawsze to samo: tę samą zależność, to samo poczucie, że nikt cię nie pyta, czy akceptujesz synergie, warunki finansowe cudzej fuzji i cudze wojny.

Więc kiedy znów usłyszysz, że „antymonopol” ma nas uratować, przypomnij sobie redaktora promptera. Tego człowieka, który w dobrej wierze, w stresie i pod presją, podejmuje codziennie małe decyzje o tym, co widz ma zobaczyć. A potem przypomnij sobie, że nad nim stoi struktura, która podejmuje decyzje wielkie – i wcale nie w dobrej wierze. Bo ostatecznie nie chodzi o to, czy TVN będzie „niezależny”. Chodzi o to, czyim narzędziem będzie ta „niezależność”. I czy w koszu wyląduje tylko temat, czy – w nowej, trumpowskiej odsłonie – sama prawda.

ANNA GRODZKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pytacie, co się w Przemyślu działo w głowie państwa. Opisuję i objaśniam.

Mózg do górnej wargi: Co jest? Gdzie jest?

Górna warga: Zaraz będzie. Jeszcze chwila.

Oczy rozglądają się w poszukiwaniu chłopaka.

Mózg: Chłopak jest?

Warga: Jest, już czeka, wszystko ma.

Lewe ucho łowi pytanie dziennikarza. Jego głos brzmi jak brzęczenie muchy.

Mózg: O co on pyta?

Usta do rzecznika Leśkiewicza: O co on pyta?

Uszy słyszą odpowiedź Leśkiewicza, ale mózg nie zamierza jej analizować.

Mózg: Chyba mu zajebię!

Następuje śródczaszkowy wzrost ciśnienia.

Usta do dziennikarza: „O co pan chce spytać? Pan nie słuchał konferencji prasowej? Pan nie słuchał, co ja myślę o Władimirze Putinie, panie redaktorze? Zrobiliście materiały, że mnie ściga Putin? Pan redaktor się ogarnie i słucha, co mówi prezydent Polski”.

Uszy słyszą szept Leśkiewicza, ale mózg wciąż się tym nie przejmuje, za to zwraca się do górnej wargi: Dlaczego jeszcze nie ma?!

Warga milczy zlękniona.

Usta do dziennikarza, żeby już przestał się odszczekiwać: „Mówię do pana, panie redaktorze: Władimir Putin to zbrodniarz. Rozumie pan redaktor? Do widzenia”.

Warga odzyskuje odwagę: Jeszcze kilka kroków i wszystko będzie – chłopak oraz taki snus, że ja pierdolę.

Oczy spostrzegają chłopaka, jego dłoń, a w dłoni woreczek nikotynowy.

Ślinianki podżuchwowe i podjęzykowe wydzielają zwiększoną dawkę śliny.

Mózg do całego organizmu: Toż to wór! Zaraz będzie już dobrze. Bardzo dobrze.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl cbc5cb04da

Rozpłód według Bosaka

Konserwy chcą walczyć krzyżem o poczęcia

19 marca w Sali Kolumnowej sejmu miała miejsce konferencja programowa „Polityka Demograficzna – dziś i jutro”. Pomysłodawcą i inicjatorem wydarzenia był zaniepokojony spadkiem produkcji małych Polaczątek prezes Ruchu Narodowego, lider Konfederacji i wicemarszałek sejmu Krzysztof Bosak. Impreza zgromadziła kilkuset gości oraz aż 30 prelegentów. Cztery panele dyskusyjne i liczne wystąpienia indywidualne. Później postawiono diagnozy i wystawiono recepty na leczenie narodowego bezbachorza.

W skład grona, które pochyliło się nad problemem niezdyscyplinowanych względem powiększania populacji, poza estradowcem z „Tańca z Gwiazdami” weszli m.in. eksperci z Instytutu Ordo Iuris, Klubu Jagiellońskiego, Fundacji Mamy i Taty czy Związku Dużych Rodzin Trzy Plus. Dwie ostatnie organizacje jeszcze w czasach rządów PiS siorbnęły łącznie 2,5 mln zł różnych państwowych dotacji na prorodzinne kampanie, które NIK w swoich raportach zjechała do spodu za nieefektywność i ideologiczną propagandę. Krótko mówiąc, od ruchania podatnika dzieci nie przybyło. Sytuacja zrobiła się na tyle poważna, że nadszedł czas, by zaszłości odłożyć na bok. Wyjaśnił to na wstępie szef klubu Konfederacji Grzegorz Płaczek, mówiąc o konieczności budowania ponadpartyjnego konsensusu wokół długofalowej strategii demograficznej.

– Państwo powinno wspierać wolność obywateli w kontekście rodziny i wyborów życiowych, a nie narzucać rozwiązania – stwierdziła uspokajająco Barbara Socha, przewodnicząca Rady Rodziny i Demografii przy prezydencie RP. Obydwoje użyli frazesów jako wazeliny do wsadzenia prawicowego zamordyzmu w obywatelskie dupy.

Jeden z paneli dyskusji poświęcono zagadnieniom: kultury, wartości i społecznym fundamentom rodziny. Marek Grabowski, prezes wspomnianej Fundacji Mamy i Taty, refleksje z raportu „Dlaczego Polska wymiera?” uzupełnił spostrzeżeniami z tygodniowego pobytu w Izraelu, które to państwo przedstawił jako godny naśladowania przykład narodowej reprodukcji. Zastanawiał się, „jak w kraju, który od 1947 roku jest pod ostrzałem” dzietność pozostaje bardzo wysoka, i doszedł do ciekawych wniosków. Wspomniał, że Izrael stosuje szeroki wachlarz narzędzi pronatalistycznych jak np. infrastruktura opieki nad dziećmi czy zasiłki. Nie zająknął się jednak o powszechnym i darmowym dostępie do procedury in vitro dla kobiet do 45. roku życia (również do momentu urodzenia drugiego dziecka z tego samego związku), o prawie do aborcji nie wspominając.

Głównym czynnikiem sukcesu według Grabowskiego jest silna kultura prorodzinna i religijna. Posiadanie dzieci jest traktowane jako wartość narodowa i tożsamościowa, patriotyczny obowiązek, a bezdzietność postrzegana jest jako odstępstwo od normy. Wszystko to mimo urbanizacji, wysokiego wykształcenia kobiet i ich obowiązkowej służby wojskowej. – Izrael unika ideologicznego promowania indywidualizmu, kariery ponad rodziną czy antynatalizmu – w mediach, edukacji i kulturze masowej macierzyństwo i ojcostwo są gloryfikowane, a nie deprecjonowane – wyjaśnił. Wniosek dla Polski jest jasny: kryzys demograficzny ma przede wszystkim charakter kulturowy, a nie wyłącznie ekonomiczny. Bez pozytywnego obrazu rodziny wielodzietnej żadne pieniądze nie przełamią trendu spadkowego. Za to każde pieniądze można władować w kolejne kampanie, he, he.

Bartosz Marczuk z Instytutu Sobieskiego zgodził się z przedmówcą, że religijność bardzo pozytywnie wpływa na dzietność. – Jeżeli jesteśmy w sejmie i mamy jakąś debatę o tym, czy ściągać krzyż z sali sejmowej, czy nie ściągać, to obojętnie, czy ktoś wierzy, czy nie wierzy, warto zastanowić się nad tym, że kwestie religijności budują wspólnotę – podkreślił. Marczuk zaznaczył, że wskaźnik dzietności zaniża 30 proc. bezdzietnych bab w wieku 40––43 lat. Są też one najlepszym dowodem, jak wielką mamy epidemię samotności. W tej kwestii jako receptę prelegent proponuje – znowu wzorem Izraela – trzymiesięczną obowiązkową służbę wojskową dla obu płci. Patriotyczne wygibasy na poligonie łączą lepiej niż Tinder. Oby tylko uczucie nie poszło w trawę.

Innym, wartym szczególnej uwagi wystąpieniem był wykład dr Pauli Szydłowskiej z prowadzonego przez zakon jezuitów krakowskiego Uniwersytetu Ignatianum. Panel dotyczył polityki państwa i systemowych instrumentów wspierania dzietności. Pani doktor pojechała z grubej – za przeproszeniem – rury. Szydłowska zwróciła uwagę, że wstąpienie Polski do Unii Europejskiej pozwoliło krajom Zachodu załatać dziury demograficzne polskim narybkiem, bo rodaczki na emigracji produkowały więcej bachorząt niż np. Angielki czy Pakistanki. Przyznała, że badacze potrzebują więcej czasu, żeby zrozumieć ten fenomen, ale kilka sugestii już mają. Pani doktor bardzo brzydko dowaliła polskiej puli genetycznej, bo według prowadzonych przez jej zespół badań jednym z czynników wzmożonego rozrodu był nowy rynek potencjalnych kandydatów na męża. Brak rodziny i siatki społecznej do pomocy miał natomiast zadziałać jako bodziec do posiadania bolca, tfu, partnera.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zamiast implementować w kraju nad Wisłą obcy element, należałoby zatem rozważyć szeroki program repatriacji tkanki polonijnej. Powrót musi być realnie wspierany przez pomoc systemową na poziomie rynku pracy, mieszkaniowym etc. Zapewne żeby bodźce nie zmusiły do poszukania lepszej pary i rozpadu świętego sakramentu małżeństwa.

O wiele gorszą w skutkach przyczyną niskiej dzietności jest według Szydłowskiej radykalne wydłużenie okresu obywatelskiego dojrzewania. Widełki czasowe usamodzielniania finansowego i emocjonalnego znacznie się rozkraczyły, tymczasem rozrodcze – wcale. W związku z powyższym należy poważnie się zastanowić nad ilością czasu poświęconego na naukę. 58 proc. studiujących to kobiety. W grupie młodych, wykształconych ludzi jest wyraźnie więcej pań z dyplomem niż mężczyzn. Zatem 25 proc. studentek nie ma szans na znalezienie partnera o równym lub wyższym wykształceniu. Trwoniąc czas na poszukiwanie ideału, marnują cenne lata zamiast zapełniać macice. Znowu nieelegancki przytyk, tym razem w stronę małżonki gospodarza poseł Kariny Bosak, która nie tylko jest świetnie wykształcona, ale pierwsze dziecko urodziła w wieku 32 lat. Nie ujmując małżonkowi pani poseł, nie skończył on studiów, a latka przeleciały… Absolwentki, które zostają matkami, mają zatem siłą rzeczy skrócony czas rozrodczy. Polki stają się matkami w wieku, w którym kiedyś bywały już babciami. Remedium na ten problem powinno być według Szydłowskiej dostosowanie systemu edukacji dla kobiet do ich systemu rozrodczego.

Kilka lat temu Uniwersytet Ignatianum dostał od rządu PiS wielomilionową dotację (17,6 bańki), choć nie spełniał wymogów formalnych. Jak widać, pieniądze nie poszły psu pod ogon.

W podobnym tonie wypowiedział się Piotr Głowacki, doradca prezydenta i przedstawiciel Centrum Myśli Gospodarczej. Podkreślił, że średni wiek urodzenia dziecka wzrósł z ok. 23 lat w latach 90. do 29 lat obecnie. Głowacki zwrócił uwagę na zjawisko przeedukowania i niedopasowania kompetencyjnego.

Wśród propozycji zmian wskazał m.in. skrócenie cyklu edukacji, wzmocnienie szkolnictwa zawodowego oraz dopasowanie systemu kształcenia do szeroko pojętych realiów życia. Co prawda nie dodał, że dziewczynkom wystarczy tylko podstawówka, ale jakoś tak samo nasuwa się na myśl.

Czy jeśli w przyszłorocznych wyborach wygra prawica (a wiele na to wskazuje), ze wszystkich tych pomysłów urodzą się dzieci? Nie. Skoro jednak już teraz polityczne konserwy poddają bez krępacji pod publiczną debatę takie kocopoły, to po przejęciu sterów wdrożą o wiele gorsze pomysły. Wtedy już nie będzie do śmiechu.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Wieża Babel znad Wisły

Pan prezydent Nawrocki jest mądry, a sejm nie bardzo.

Zaczęło się od pomysłu, że oto państwo polskie powinno zatroszczyć się o język, którym nikt już nie mówi, bo nawet jego użytkownicy nie są pewni, czy jeszcze istnieje. I tak gdzieś pomiędzy debatą o finansowaniu wojska a rozważaniami nad inflacją i przyszłością systemu emerytalnego pojawiła się ustawa: projekt nowelizacji ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym, który zakładał nadanie językowi wilamowskiemu – zwanemu też etnolektem wilamowskim – statusu języka regionalnego.

Kilkuosobowe dziedzictwo

Ta perełka legislacyjna znalazła się na stole, gdyż grupa parlamentarzystów, wspierana przez aktywistów lokalnych i środowiska akademickie, postanowiła, że warto przypomnieć światu o istnieniu Wilamowic – miejscowości, której populacja mogłaby się zmieścić w jednej większej sali gimnastycznej. A skoro Wilamowice są, to i język, którym nieliczni tam jeszcze mruczą w kącie, musi być objęty państwową opieką. Projekt przeszedł więc do sejmu.

Komisje coś tam przeczytały, ktoś coś powiedział, kilku posłów ziewnęło, ale przecież trudno być przeciwko dziedzictwu kulturowemu, prawda? Uchwalono. Bez większej debaty, bez krzyku, bez refleksji.

Po prostu tak, jak się uchwala dzień pieroga albo rok bioróżnorodności. Wypowiedzi były równie ogólne, co przewidywalne. Poseł stwierdził: „Wilamowski język to część naszego wspólnego dziedzictwa. Nie możemy pozwolić, by umarł w ciszy”. Posłanka wyraziła przekonanie, że dzieci z Wilamowic mają prawo do edukacji w swoim języku. Zabrzmiało to dumnie, tyle że dzieci w Wilamowicach jest niewiele, a dzieci mówiących po wilamowsku jeszcze mniej.

Statystyki nie kłamią. Według danych z 2016 r. aktywnych użytkowników języka wilamowskiego było 25. Bierną znajomość wykazywało około 350 osób. Czyli mniej, niż jest posłów w sejmie, gdy się głosuje. A jednak to dla tej grupy postanowiono uruchomić pełny proces legislacyjny.

Senat oczywiście przyklepał. I już, już zdawało się, że język wilamowski – etnolekt, mikromowa, relikt przeszłości – stanie się pełnoprawnym językiem regionalnym, z całą powagą i urzędową pieczęcią…

Co to do cholery jest etnolekt?

Zacznijmy od tego, że język wilamowski naprawdę istnieje. Ma nawet swoją nazwę własną: Wymysiöeryś. Brzmi jak zagubiony kod błędu w systemie operacyjnym, ale jest to najzupełniej rzeczywisty twór językowy. Twór, który przez stulecia rozwijał się w izolacji między Bielskiem a Kętami, w społeczności tak zamkniętej, że nawet plotki cyrkulowały tam w trybie szyfrowanym. Przez wieki mieszkańcy Wilamowic pielęgnowali swój język, swoje obyczaje i swoją odrębność, która nie była żadną manifestacją polityczną, tylko sposobem na to, żeby nie rozmawiać z sąsiadem z wioski obok.

Po wojnie przyszła unifikacja, przymusowe naprawianie ludzkich tożsamości, zakazy, nakazy i inne radości PRL. Język wilamowski jako dziwna odmiana niemczyzny poszedł do piachu, a jego ostatni użytkownicy do lamusa. Przetrwał w kilku domach, w kilkunastu umysłach, w pamięci i zapiskach. Dziś posługuje się nim aktywnie garstka osób. Część z nich to nowomówcy – ci, którzy po wejściu do Unii uczyli się wilamowskiego tak, jak uczy się łaciny. Z nadzieją, że dzięki temu spłynie na nich nieco brukselki.

A teraz słowo klucz: etnolekt. Nie jakiś tam dialekt, nie gwarowa paplanina. Etnolekt! Wyrażenie, które otwiera drzwi do ministerialnych grantów, do pozycji eksperta w mediach, do cytowań i konferencji. W gruncie rzeczy oznacza to tylko tyle, że mówisz trochę inaczej, bo twoi pradziadowie mówili jeszcze trochę inaczej. Wilamowski etnolekt to miks dialektów niemieckich, polonizmów, archaizmów i specyficznych naleciałości lokalnych. Mówiąc wprost, język, który trudno sklasyfikować, ale łatwo uznać za unikalny, jeśli się bardzo chce. A bardzo chcieli nie tyle językoznawcy, ile lokalni aktywiści, którzy na tej unikalności chcieli zarobić. A gdyby się nie udało, to zostałyby im przekleństwa. Bo nawet w tym języku istnieją brzydkie słowa. Na przykład shäißker oznacza po prostu „gówniarz”, a däpp to ktoś, kogo nazwalibyśmy po polsku głąbem albo palantem. To dowód, że język ten miał kiedyś realną funkcję społeczną i że nie służył wyłącznie do śpiewania ballad, ale także do wyrażania ludzkiej irytacji.

W tym miejscu warto zadać pytanie, które umknęło wielu entuzjastom wilamowskiego renesansu: czy rzeczywiście język ten może być uznany za regionalny w myśl polskiego prawa? Ustawa jasno określa, że język regionalny to język używany przez społeczność niebędącą mniejszością narodową ani etniczną, ale posiadającą wyraźne cechy tożsamości kulturowej i historycznej. Jedynym takim językiem, który dotąd uzyskał ten status w Polsce, jest język kaszubski – język, którym według ostatnich danych posługuje się aktywnie ponad 100 tys. osób.

Porównanie z kaszubskim wypada dla wilamowskiego cokolwiek groteskowo. Gdy kaszubski pojawia się w radiu, telewizji i na lekcjach w szkołach, wilamowski to język z kilkoma czytelnikami i paroma fanami. O innych językach regionalnych nie może być mowy, bo żadnemu nie przyznano takiego statusu. Śląski, pomimo znacznie większej liczby użytkowników, wciąż nie doczekał się uznania. I tu rodzi się pytanie: dlaczego 25 osób z Wilamowic miało dostać coś, czego nie dano 500 tys. Ślązaków?

I jeszcze raz

Prezydent Nawrocki albo jego kanceliści – w przeciwieństwie do większości posłów – przeczytali ustawę. A może przeczytali tylko jej tytuł, ale to i tak więcej, niż można powiedzieć o niektórych senatorach. No i Nawrocki zawetował. Ale zamiast wywalić ją do kosza, skierował ustawę do ponownego rozpatrzenia. W związku z czym nad językiem, którym porozumiewa się tyle osób, ile liczy przeciętna klasa w podstawówce, znowu mają deliberować setki osób sowicie opłacanych przez naród.

Prezydent przypomniał, że język regionalny – wedle definicji ustawowej – musi być używany przez społeczność posiadającą cechy wspólnoty etnicznej lub narodowościowej. Tymczasem wilamowscy – jak sam zauważył – nie spełniają tych kryteriów. Nie są ani mniejszością narodową, ani etniczną. Są mniejszością entuzjastów językoznawczych rekonstrukcji, zbieraniną ludzi, którzy z pasją odtwarzają język przodków, ale nie stanowią żadnej zdefiniowanej grupy w sensie ustawy. Oczywiście Nawrocki nie mógł napisać tego wprost. Musiał powołać się na ekspertyzy. Przytoczył więc opinie profesorów. Jedni twierdzili, że wilamowski to osobny język, inni – że to dialekt niemieckiego, a jeszcze inni – że to język, ale taki, który bardziej przypomina literacką stylizację niż narzędzie codziennej komunikacji. Każda ekspertyza to wydatek z kieszeni podatnika. Weto nie było ostateczne, ale prezydent i tak uratował nas przed absurdem. Sejm bowiem język wilamowski odpuścił.

A w tym absurdzie nie chodziło o troskę o język. Nie chodziło o wspólnotę. Ale o to, by każdy mógł ogłosić, że zrobił coś ważnego. Posłowie, że przegłosowali. Senatorowie, że zatwierdzili. Aktywiści, że wymusili. Wszyscy poświęcili czas, środki i uwagę dla sprawy, która dla przeciętnego Polaka nie ma większego znaczenia niż skład wody mineralnej w nieokaucjowanej butelce.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl cbc5cb04da

ETYKA BEZBOŻNA

Rzecz o okrucieństwie

Ptak postępu

Struś Zenek nie miał nawet piasku, w który mógłby schować głowę, gdy zbliżał się do niego oprawca z kijem, niejaki Sebastian Sz. A miał ów oprawca jeden cel: zakatować biednego ptaka. A po co? No, niby dla przyjemności, lecz tak naprawdę (zapewne, bo mogę się tylko domyślać, nie znając wszak tego typa) po to, by przeżyć coś wyjątkowego i coś wyjątkowego uczynić. Z dumą nosił głowę wysoko, myśląc sobie „oto jestem jedynym w dziejach narodu Polakiem, który zatłukł kijem strusia!”.

Podobno nawet przechwala się swoim czynem w grypsach z więzienia, dokąd to wsadził go sędzia poznańskiego sądu wyrokiem czterech lat pozbawienia wolności. Znęcanie się nad zwierzęciem zagrożone jest wprawdzie karą pięciu lat, lecz wyrok dla naszego Seby jest dopiero drugi tak surowy w całej historii polskiego wymiaru sprawiedliwości. Zapewne przygotował go inny wyjątkowy wyrok w wyjątkowej sprawie, mianowicie 4,5 roku więzienia za zakatowanie psa dla niejakiego Łukasza N. w 2018 r. Być może pamiętacie też niejakiego Bonkowskiego, niegdyś senatora z PiS, który zabił swojego psa, wlekąc go za samochodem. Ten akurat miał szczęście – sąd skazał go w 2024 r. zaledwie na trzy miesiące.

Widać, że polski wymiar sprawiedliwości, wzorem innych krajów, staje się coraz surowszy względem okrucieństwa wobec zwierząt, choć linia orzecznicza dopiero się stabilizuje. To kolejny znak moralnej rewolucji i uwolnienia się moralności publicznej z chrześcijańskiego gorsetu. Jeśli bowiem do niedawna nie szło się do więzienia za znęcanie się nad zwierzętami, to po prostu dlatego, że w durnych i nomen omen bezdusznych doktrynach kościołów od „miłości bliźniego” akurat zwierzę nie ma duszy, wobec czego w gruncie rzeczy nie wie, że cierpi, czyli w sumie nie cierpi. Okrucieństwo wobec zwierząt, owszem, jest grzechem, ale tylko dlatego, że uczy okrucieństwa wobec ludzi. Dopiero w ostatnich kilku dekadach chrześcijanie zaczęli się wycofywać rakiem z tych idiotycznych i amoralnych przekonań, najczęściej zasłaniając się przy tym św. Franciszkiem (jak gdyby miało to coś do rzeczy).

Można powiedzieć, że okrutna śmierć strusia Zenka nie poszła na marne. Oddał on życie (wszelako nic o tym nie wiedząc) za postęp moralności publicznej w Polsce. Dzięki niemu w milionach polskich domów dyskutuje się o tym, co można zrobić zwierzęciu i co się za krzywdzenie zwierząt należy. Grzywna? Więzienie? Ile tego więzienia? I bardzo dobrze, że ludzie o tym mówią. Trzeba by dojść do jakiegoś konsensusu. Na razie jeszcze go nie ma, więc można się spodziewać wyroków od Sasa do Lasa.

Dla uczczenia pamięci strusia Zenka chciałbym dziś skreślić parę słów na temat największego obok egoizmu wroga moralności i wszelkiej cnoty, jakim jest okrucieństwo. Na pozór wydaje się, że jest to po prostu działanie z nienawiści. Owszem, nienawiść może prowadzić do okrucieństwa, lecz całkiem często bywa zupełnie inaczej. Skazany Sebastian Sz. zapewne nie czuł nienawiści do strusia, który wszak był za ogrodzeniem i nic mu złego nie zrobił, a w szczególności wcale go nie kopnął w zadek. Okrucieństwo bywa bezmyślną nieczułością – pisał już o tym Fryderyk Nietzsche. Z niejakim podziwem odnosił się on do brutalności ludzi, którzy w dawnych czasach dokonywali krwawych czynów, nie wykazując się przy tym agresją. Ba, nawet czynili tak może i nie całkiem bez empatii – mimo tego bowiem, że sami mogli wyobrażać sobie cierpienie swych ofiar, to ich własna na cierpienie odporność ułatwiała zadawanie go innym.

Obraz psychopatycznego brutala nakłada się nam wobec tego na nieco inny mimo wszystko wizerunek tępego i nieczułego w swojej tępocie prostaka.

Ktoś napawa się cudzym cierpieniem, a ktoś inny po prostu jest na nie obojętny. A kto wie, czy nie ma tu całej gamy stanów pośrednich lub mieszanych.

Psychologia łajdactwa nie jest moją mocną stroną, lecz jako etyk mam tę zasadniczą trudność, że nie wiem, jak w ogóle mam się odnosić do przypadków czegoś, co wydaje się czystym złem. Złem jakby poza skalą i poza regułami gry, w której raz czynimy dobro, innym razem – zło bądź też coś pomiędzy, lecz generalnie chcielibyśmy być kimś choćby odrobinę przyzwoitym. Okrutnik i brutal przychodzi do naszego świata moralnego i wszystko rozwala, tak jak gdyby w ogóle nie widział i nie wiedział, co czyni. Zachowuje się jak zwierzę (stąd „bydlak”), tyle że „zwierzęciu wolno” (gdyż nie ma możliwości przyjęcia na siebie żadnej odpowiedzialności moralnej), a człowiekowi nie wolno.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Okrutnik czyniący ludziom i zwierzętom straszliwe i ostateczne krzywdy może nie mieć żadnej świadomości moralnego znaczenia swoich czynów, a jednocześnie doskonale wiedzieć, co robi, i że to, co robi, jest naganne i karalne. Po prostu jest mu to obojętne, bo też i wszelkie względy moralne są dla niego czymś zupełnie obojętnym i przezroczystym, jak powietrze, o którym wszak wiemy, że jest, lecz wcale o nim nie myślimy. Fakt, że jest potępiany, nie robi na bandycie wrażenia. Ba, nawet kara może być dla niego mało dotkliwa, gdyż w swej ogólnej tępocie czuje się z grubsza tak samo (dobrze, a może raczej nijako) na wolności i w więzieniu. Wszędzie jest sobą, na przykład Sebą bandytą. I dobrze mu z tym, czyli z sobą. Miłość własną ma bowiem opanowaną i żadna inna mu już do szczęścia nie jest potrzebna.

Niestety, wobec bandyckiego okrucieństwa stajemy bezradni. Możemy łapać, skazywać, karać, lecz wszystko to jakimś sposobem ześlizguje się, a raczej spływa po twardej skorupie, jaką winowajca odgrodzony jest od zewnętrznego świata. A jednak gdyby nie takie typy jak Sebastian Sz., nie wiedzielibyśmy, czym różni się człowieczeństwo od ludzkiej bydlęcości. Moralny wstrząs, który przeżywamy na widok bezmyślnego okrucieństwa wymierzonego w istotę absolutnie niewinną i niezdolną do samoobrony, za każdym razem pokazuje nam dwie rzeczy: kruchość naszego życia moralnego i wszystkich jego ideałów oraz potężną przewagę, jaką istota wyposażona w sumienie ma nad kimś, kto będąc człowiekiem, używa pałki z taką zawziętością, jak ptaszysko używa swego dzioba.

JAN HARTMAN

Jolka, Jolka, pamiętasz...

Strzyżenie niepokornych

Wiewiórki donoszą, że jeszcze przed wakacjami premier Donald Tusk zamierza dokonać małej rekonstrukcji rządu, aby przypudrować notowania niektórych ministerstw. Na karuzelę nazwisk do demontażu wciągnięto minister zdrowia Jolantę Sobierańską-Grendę. Tusk doniesieniom o roszadach niby zaprzeczył, ale przed odwołaniem Izabeli Leszczyny obrał podobną taktykę. Przez długi czas pozwalał funkcjonować narracji, że minister zostaje, jednocześnie – jak wynikało z przecieków – przygotowując grunt pod zmianę, jak na stare polityczne lisisko przystało. Temat może wrócić za kilka tygodni, jeśli wyniki w ochronie zdrowia się nie poprawią, a na to się właśnie zanosi. Czy premier zamiast pożaru w ministerstwie zgasi panią minister?

Ciach, ciach

Dopiero co pisaliśmy („NIE” nr 11/26) o egzekucji świadczeń nielimitowanych na kolonoskopię, gastroskopię, tomografię komputerową i rezonans magnetyczny, a walec oszczędności NFZ dojechał do kolejnego zakrętu. Narodowy Fundusz Zdrowia szykuje nowe zarządzenie dotyczące finansowania ambulatoryjnej opieki specjalistycznej. Mechanizm ma być bliźniaczo podobny do tego, który ograniczy dostęp do przeglądu bebechów. Lecznice otrzymają pieniądze tylko za ok. 40. proc. badań i świadczeń wykonanych ponad plan. Chodzi o świadczenia zdrowotne udzielane przez lekarzy specjalistów w poradniach (np. neurologicznej czy kardiologicznej), bez konieczności hospitalizacji, czyli w trybie wizyt ambulatoryjnych. Obejmują one konsultacje, diagnostykę, zabiegi i leczenie, zazwyczaj na podstawie skierowania od lekarza podstawowej opieki zdrowotnej (POZ). Redukcja finansowania tych fanaberii ma przynieść budżetowi nawet 1,5 mld zł rocznie. A konieczne będą następne cięcia zgodnie z przygotowaną przez Ministerstwo Zdrowia jesienią ubiegłego roku listą.



Rys. TOMASZ WIATER

Szef rządu zapewnia, że pula pieniędzy przeznaczona na ochronę zdrowia powinna być racjonalnie podzielona, aby świadczenia „nielimitowane były dalej realizowane, żeby dostęp był większy, a nie mniejszy i żeby w związku z tym doszło do kolejek”. W nieco innym tonie 23 marca na antenie Radia Zet wypowiedział się szef Stałego Komitetu Rady Ministrów Maciej Berek. – NFZ umawia się ze szpitalem „zapłacę ci za określoną liczbę świadczeń” i podpisuje kontrakt. Szpital realizuje kontrakt, wyczerpuje te świadczenia, a potem udziela ich dalej dlatego, że zawsze były płacone nadwykonania. Czyli w istocie nieważne, na ile się umówiliśmy, a NFZ podpisuje kontrakty w ramach budżetu, który ma – tłumaczył. Oznacza to zatem, że – według Berka – leczenie pacjentów w ramach świadczeń nielimitowanych, o których wspomniał Tusk, jest jakąś formą naciągactwa. Winą szpitala jest, że pacjent zachoruje akurat, kiedy skończą się limity. Albo lekarze wyłapują chorych na ulicach, żeby zrobić rządowi kłopot. Najwyraźniej powinni wykurwić pacjenta do domu, zamiast leczyć. Przebąkiwał o tym sam prezes NFZ Filip Nowak, w którego opinii świadczeniodawcy muszą tak zarządzać ruchem pacjentów, by w ramach kontraktu była pod koniec roku rezerwa na tzw. pacjentów pilnych. Jest to znacznie bardziej wymowne niż zapewnienia, że racjonalizacja wydatków nie zakłada ograniczenia dostępności i nie będzie konsekwencją zmian. Dostęp owszem będzie, tylko rozłożony w latach i gigantycznych kolejkach.

Pacjent w piach

Ministerstwo Finansów od dawna domaga się od NFZ i MZ oszczędności. To dlatego nie zatwierdziło planu finansowego ani na rok 2025 ani na rok bieżący. Premier Donald Tusk, ogłaszając w lipcu 2025 r. rekonstrukcję rządu i powołanie Jolanty Sobierańskiej-Grendy na stanowisko ministra zdrowia, obwieścił, że resort przejdzie w ręce wyłącznie fachowców od zarządzania całym systemem ochrony zdrowia, a jedynym celem będzie poprawa sytuacji pacjentów, a nie poprawa sytuacji lekarzy. Naturalnie nic z tego nie wyszło.

Ministerstwo Zdrowia (już pod kierunkiem nowej minister) proponowało przesunięcie waloryzacji wynagrodzeń medyków z lipca 2026 r. na styczeń 2027 r. oraz zmianę wskaźnika wzrostu (z przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce na wzrost w sferze budżetowej), co dałoby mniejszą dynamikę podwyżek. Po negocjacjach w Trójstronnym Zespołem ds. Ochrony Zdrowia (bez porozumienia ze związkami zawodowymi) podwyżki pozostają bez zmian, zgodnie z obowiązującą ustawą o minimalnym wynagrodzeniu w ochronie zdrowia. Ministerstwo Zdrowia twierdzi, że NFZ musi udźwignąć 3,5 mld zł kosztów minimalnego wariantu realizacji wspomnianej ustawy. Fundusz natomiast zapowiada, że pieniądze na realizację rekomendacji muszą pochodzić z dodatkowej dotacji, bo są częścią luki finansowej, a nie tego, czym płatnik planowo będzie dysponował. Należy czytać to tak, że fundusz może zadania nie zrealizować, czyli nie przekazać podmiotom leczniczym kasy na podwyżki, które świadczeniodawcy i tak będą musieli pracownikom wypłacić. Zanim ktoś się ucieszy z nieszczęścia łapiduchów: rewaloryzacja wynagrodzenia medyków dotyczy tylko etatowców, a nie lekarzy na kontraktach, którzy bywają beneficjentami kominów płacowych. Tej patologii nie da się rozbroić, bo etaty kosztują, a jak wiadomo, pieniędzy na wszystko brak. Jednak jak z uporem maniaka zapewnia premier, składka zdrowotna nie zostanie podniesiona. Jak na ironię im bardziej Tusk staje w kwestii składki okoniem, tym głośniej minister zdrowia nawołuje do zmian w sposobie jej naliczania.

Morda i kubeł

W połowie lutego, a więc chwilę przed podjęciem decyzji o goleniu świadczeń, minister Sobierańska-Grenda zapowiedziała przegląd grup uprzywilejowanych, zwolnionych z płacenia składki zdrowotnej. Wśród szczęśliwców, którym daninę finansuje budżet państwa są m.in. studenci, duchowni, kombatanci, żołnierze, bezrobotni oraz oczywiście rolnicy. Z danych wynika, że ok. 60 proc. ubezpieczonych w KRUS (rolnicy i ich rodziny, głównie drobne i średnie gospodarstwa do 6 ha) nie płaci nic. Kolejne 26 proc. płaci bardzo niską kwotę, do 20 zł miesięcznie. Również w lutym sam poseł Marek Sawicki w wywiadzie dla Rynku Zdrowia mówił, że

gdyby przeprowadzić rzetelną kontrolę, mogłoby się okazać, że KRUS obejmuje ubezpieczeniem nie 1,3 mln osób, a zaledwie 450 tys. Sugerował tym samym, że po weryfikacji i namierzeniu farbowanych rolników więcej osób przeszłoby do systemu ZUS.

Niestety, temat utknął w negocjacjach politycznych. Ciekawe dlaczego…

W kuluarach mówi się, że eksperyment premiera z odpolitycznieniem urzędu się nie udał. Najpewniej z powodu przekonania, że ochrona zdrowia to obszar, w którym lepiej nie mieszać odważnymi reformami, a Sobierańska-Grenda do pracy przy takich wytycznych nie przywykła. Trudno nie odnieść wrażenia, że w rzeczywistości resortem zdrowia kieruje szef ministerstwa finansów. Pani minister miała dokonać rewolucji, która nie mogła się udać. Bolesne dla pacjentów skutki musiały natomiast mieć jakiś szyld. Stało się nim nazwisko następczyni Izabeli Leszczyny.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl cbc5cb04da

DNA destrukcji

Gen przemocy w kodzie systemu

Czy zdarza ci się czasem, że coś czytasz albo kogoś słuchasz i nagle masz wrażenie, że to jest właśnie to, co myślisz – tylko nie udało ci się tego jeszcze powiedzieć, znaleźć odpowiednich analogii, faktów, słów? Tak właśnie miałam, czytając w poprzednim, 12. numerze „NIE" tekst prof. Tadeusza Klementewicza zatytułowany „Czołgi zamiast samochodów". Dlatego to, co teraz napiszę, nie będzie polemiką z Profesorem. Będzie moją reakcją. Moją impresją – wartą, mam nadzieję, wypowiadanych słów.

Finansjeryzacja – oś systemu

Malując tę impresję, muszę zacząć od zagruntowania płótna, czyli od oczywistości: pieniądze mogą służyć realizacji intencji tak pięknych, jak i wrednych. Nie są, jak malują je ideologowie neoliberalizmu, jedynie „użytecznym narzędziem wymiany dóbr i usług". W kapitalizmie są z jednej strony powszechnym przedmiotem pożądania, z drugiej – narzędziem zniewolenia, a do tego jeszcze afrodyzjakiem bezwzględnych chciwców. Brutalna funkcja pieniędzy nie jest ich immanentną cechą. To efekt ich użycia w chorym systemie kapitalizmu.

W neoliberalizmie, czyli kapitalizmie zdominowanym przez finanse, gospodarka – jak opisał to już w latach 70. James Kenneth Galbraith – nie służy ludziom, lecz spekulacjom i akumulacji kapitału. Wojny są tu biznesem idealnym. USA, według Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI), wydały w 2025 r. na zbrojenia rekordowe 916 mld dol., czyli 40 proc. światowych wydatków – głównie dla Lockheed Martin, Raytheon czy Boeinga, których akcje rosną z każdym ostrzałem. Oligarchowie? Właściciele BlackRock, zarządzającego 10 bln dol., inwestują w te koncerny, a ich zyski płyną z obligacji wojennych i kontraktów rządowych. W Europie niemiecki gigant Rheinmetall podwoił zyski dzięki Ukrainie; jego akcje od początku wojny poszły 300 proc. w górę.

Ropa to wojna

Bliski Wschód krwawi za petrodolary.

USA bronią Arabii Saudyjskiej i Kuwejtu oraz napadają na Wenezuelę i Iran nie z altruizmu ani dla ochrony praw człowieka, lecz po to, by ropa była wyceniana w dolarach, co podtrzymuje hegemonię amerykańskiego pieniądza.

To właśnie proces „recyklingu petrodolarów". Prosta, ale bardzo ważna sztuczka. Kiedy kraje eksportujące ropę – np. Arabia Saudyjska, Iran czy Rosja – sprzedają ją za dolary, dostają ogromne sumy dolarów, których nie mogą sensownie wydać u siebie. Więc inwestują je z powrotem w amerykańskie aktywa: obligacje skarbowe, banki, giełdy, nieruchomości. Efekt jest prosty. USA otrzymują „darmowy" kredyt – ktoś pożycza im miliardy, które mogą wydawać na wojsko, podatki, deficyt budżetowy. A dolar pozostaje główną walutą handlu ropą, bo nadal płaci się za nią w amerykańskiej walucie. I tak hegemonia sama się napędza.

Wenezuela? Sankcje USA od 2017 r. to nie osobisty imperializm Bidena czy Trumpa, lecz ochrona Chevrona przed socjalizmem, który chce dzielić zyski z ropy z ludem. Palestyna? Gaz pod Gazą wart 500 mld dol. i ropa z Zatoki to stawka, dla której Izrael, przy wsparciu USA, miażdży opór. Nawet Ukraina i jej warte miliardy złoża gazu łupkowego przyciągają nie tylko Shella, Exxona, ale i europejskie koncerny energetyczne – a wraz z nimi wojnę. Banki takie jak JPMorgan zarabiają na swapach walutowych i derywatach ropy – rynku wartym jeden kwadrylion dolarów. Wojna? Gdy Iran czy Wenezuela próbują sprzedawać ropę w juanach albo euro, USA nakładają sankcje, bombardują, organizują pałacowe przewroty lub przypadkowe katastrofy samolotowych limuzyn z niepokornymi prezydentami.

Bezpieczeństwo – zasłona dymna

A Polska? W 2025 r., po ostatecznym odcięciu się od kierunków wschodnich, praktycznie każda baryłka ropy sprowadzana przez Orlen była rozliczana w dolarach, co czyni bezpieczeństwo energetyczne całkowicie zależnym od dynamiki globalnego rynku finansowego. Dane Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem i raporty Orlenu z 2025 r. obnażają tę samą logikę: system spala ropę, żeby zasilać armie, które pilnują dostaw ropy. Gdy Orlen rozlicza 100 proc. morskich dostaw w dolarach, karmi walutę, która jest krwiobiegiem globalnego handlu bronią.

To zamknięty obieg kapitału, w którym zysk z surowców finansuje przemoc potrzebną do ich kontroli. Wojna nie jest błędem systemu – to jego metabolizm, w którym dolar jest nośnikiem energii, a zniszczenie staje się tworzeniem „nowego rynku" i warunkiem dalszego wzrostu. To nie wypaczenie kapitalizmu. To jego istota.

Trump, Putin, Xi czy Tusk są beneficjentami systemu, ale jako jego strażnicy i marionetki. Ich „nacjonalizm", „transakcjonizm" czy paranoja na tle „bezpieczeństwa" to tylko złudzenie i zasłona dymna. Prawdziwi bossowie siedzą na Wall Street i w City of London. Fundusze hedgingowe zarabiają na wojnie, shortując waluty, a derywaty na ropę przynoszą miliardy. Chiny? Ich zbrojenia rosnące o 7 proc. rocznie są odpowiedzią na ten wyścig. Ale i one zgarniają zyski z eksportu broni. Ludzkość pokornie się na to zgadza, bo neoliberalizm wciąż wciska nam mit wolnego rynku, w którym zysk z karabinu AK-47 jest równie święty jak z iPhone'a.

Własna droga – nasza szansa

Czy powinniśmy – my, Polska, my, Europa – tkwić w tym nieludzkim systemie? Czy mamy szansę urwać się z tych chorych zależności od ropy i dolara? Sądzę, że obecny kryzys geopolityczny jest właśnie naszą szansą.

Z powyższych rozważań wynikają dwie drogi, którymi powinniśmy pójść. Pierwsza to kontynuacja uniezależniania się od paliw kopalnych. Druga to stopniowe uwalnianie się od zależności od dolara – suwerenizacja euro i korzystanie z suwerennego polskiego złotego. Niestety, na tę możliwość zamykają oczy polscy i europejscy rządzący. Co gorsza, Ty i ja widzimy dziś tendencje dokładnie odwrotne. Ale to nie znaczy, że mamy siedzieć cicho i płakać. Wręcz przeciwnie. Nie milczmy.

Ucieczkę od dolara próbowały zrobić Niemcy. Miał im to zapewnić Nord Stream 2. Wojna pokazała jednak iluzoryczność tego projektu. Ucieczka z jednej waluty w drugą może mieć, jak się okazuje, ograniczony sens. Prawdziwą wolność w tym zakresie – pod warunkiem kontrolowania narzędzi produkcji – może dać Europie i Polsce energia z OZE: fotowoltaika, wiatraki, wodór, geotermia i niestety także konieczna energetyka atomowa. W takich warunkach europejski suwerenny pieniądz mógłby stać się narzędziem finansowania tej zmiany i nowym potencjałem rozwojowym.

Społeczeństwa Europy muszą zrozumieć jedno: bez ropy może znaczyć bez wojen, a własna waluta może znaczyć szansę wyboru własnej drogi – własnego modelu rozwoju. Inaczej dalej będziemy tylko dopłacać do własnego zniewolenia i jeszcze nazywać to realizmem.

ANNA GRODZKA



Ilustr. PAWEŁ FERENC

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Pierwsze bociany już są. W tym roku pośpieszyły się, bo część zimowała na Bliskim Wschodzie zamiast w Afryce. Politycznie niezręcznie, logistycznie sprytnie. Jak zwykle pierwsi są panowie. Samce zajmują i reperują gniazda. W Polsce gniazduje około 45 tys. bocianich par. Liczba spada. Niedobrze. Bocian to nasz prawdziwy ptak narodowy: chodzi po łące, żre żaby, robi dzieci. Orła większość widziała co najwyżej na monecie i w herbie nad urzędem. Symbolika symboliką, ale jak padną bociany, to już tylko zostanie patriotyzm z bilonu.

▮ Eksploratorzy wygrzebali z pomorskiej ziemi rzymski amulet w kształcie fallusa. Starożytni wierzyli, że takie dyndające przy pasie żelastwo odpędza złe moce i przynosi farta. Dwa tysiące lat temu ludzie byli przynajmniej szczersi. Zamiast składać ręce do modlitwy, woleli trzymać się za mosiężnego kutasa, żeby los ich nie wyruchał. Znalezisko trafiło do wojewódzkiego konserwatora zabytków. Zdjęcia w sieci potwierdzają: zawieszka wygląda naprawdę chujowo – i to w najbardziej dosłownym, rzymskim znaczeniu tego słowa.

▮ Polska nauka wstała z kolan i od razu rymnęła nosem prosto w tatrzańską kosodrzewinę. Trójka wybitnych specjalistów z Katedry Ochrony Ekosystemów Wydziału Leśnego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie: prof. Robert Jankowiak, dr Piotr Bilański oraz dr Hanna Stępniewska wypatrzyła na górskich krzakach coś, co ma wstrząsnąć posadami świata: nowego grzyba. Nazwali to *Cytospora tatrensis*, co znaczy workowiec tatrzański. Ten mikroskopijny pasożyt rosnący na pędach sosny ma otwierać „nowy rozdział w dyskusji o wędrówkach organizmów". Cały świat naukowy wstrzymał oddech, choć nikt poza garstką zapaleńców nie ma pojęcia, po co to właściwie istnieje.

▮ Mielec znów rzuca wyzwanie światowej motoryzacji nowym modelem Melex N.30. To elektryczne monstrum dysponuje mocą 7 KM i pędzi z prędkością 43 km/h. Można nim przewieźć tonę gruzu .Warto przypomnieć wszystkim wyznawcom Elona Muska, że gdy ich bożek był jeszcze w sferze planów matrymonialnych rodziców (rok 1970), w Mielcu już seryjnie tłukli elektryczne pojazdy. Kiedy Amerykanie dopiero odkrywali, że prąd może służyć do czegoś innego niż krzesło elektryczne, nasze Melexy podbijały ich pola golfowe. Finał tej historii jest jednak polski: firma, która była naszą dumą eksportową, została ostatecznie „zdobyta" przez amerykańskiego potentata Club Car. Mamy jednak przynajmniej tę wątpliwą satysfakcję, że fabryka wciąż stoi w Mielcu. Sukces na miarę naszych możliwości.

▮ W lutym 2026 r. Polska udowodniła, że jest sadowniczym pępkiem świata. Wyeksportowaliśmy ponad 43 tys. ton jabłek do 31 krajów. Wynik lepszy niż w styczniu. Rocznie to jest 800 tys. ton. Głównym odbiorcą był Egipt – widocznie piramidy lepiej prezentują się w cieniu skrzynek z Grójca. Dalej Kazachstan, Indie i nasza ukochana Białoruś, która mimo animozji wciąż chrupie polskie owoce. Wysyłamy też jabłka do Uzbekistanu. Jesteśmy największym producentem w Europie – 4 mln ton rocznie. To imponujące: naród, który od czasów lampy naftowej Łukasiewicza nie wymyślił niczego bardziej skomplikowanego niż otwieracz do konserw, stał się globalnym potentatem w dziedzinie spadających owoców.

▮ Lokalną Telewizję Bolesławiec przejęła spółka Medask, wykupując udziały gminy i pracowników. Nowy właściciel to paczka z miejscowego szpitala św. Łukasza: lekarze, szef anestezjologii, kierownik poradni, główna księgowa, radca prawny. Po co lekarzom telewizja? Oficjalnie: synergia, edukacja zdrowotna, profilaktyka. Nieoficjalnie: skoro media są chore, to trafiły wreszcie na oddział. Anestezjolog uśpi widza, księgowa policzy puls oglądalności, radca poda kroplówkę z paragrafów. Gratuluję bolesławianom. Teraz ich telewizja nie tylko będzie nudna, ale i całkowicie zdezynfekowana.

▮ W niedzielę znów bawimy się w przesuwanie wskazówek, jakbyśmy mogli dekretem oszukać biologię. Ten rytuał trwa od 1977 r. – blisko pół wieku państwowej tresury. Wtedy Gierek wmawiał, że to cywilizacyjne dobrodziejstwo, dziś klną na to wszyscy, którym organizm nie chce się zsynchronizować z urzędowym czasem. To jak z plastikowymi torbami: ongiś miały ratować lasy przed wycinką na papier, dziś są śmiertelnym wrogiem planety. Prawda stała się towarem sezonowym, zależnym od aktualnej mody i narracji, a nie od jakichś tam obiektywnych wartości.

▮ 40-letnia mieszkanka Bielska Podlaskiego postanowiła udowodnić, że egzaminy na prawo jazdy to tylko zbędna biurokracja wymyślona przez sadystów. Na swój pierwszy sprawdzian w WORD-zie przyjechała z fasonem – własnym samochodem, oczywiście nie posiadając żadnych uprawnień. Gdy egzaminator, oblał „mistrzynię kierownicy", kobieta – w ramach odreagowania stresu – skasowała inne auto na parkingu i czmychnęła z miejsca zdarzenia. Policji tłumaczyła, że była „rozkojarzona". No i jeszcze posiada talent do kumulowania nieszczęść – dodajemy od siebie.

▮ Jarocin to nie Kolumbia, ale 25-letnia imigrantka postanowiła urządzić tam rodakom małe Bogoty. Oszukiwała Kolumbijczyków raz jako lekarka medycyny estetycznej (wyłudziła 10 tys. zł), raz jako adwokatka od kart pobytu (za marne 420), a na koniec jako księgowa, która zwrot podatku klienta przelała prosto na własne konto. Prawdziwy „eskobaryzm" zaimportowany do Wielkopolski. Grozi jej osiem lat – w polskim więzieniu. Jak widać, nie tylko polska solidarność narodowa kończy się tam, gdzie zaczyna się cudzy zwrot z urzędu skarbowego.

▮ W chilijskim parku narodowym Torres del Paine polski turysta zapalił papierosa. Kiedy strażniczka zaczęła go nagrywać, przeszedł do obelg. Efekt? Wydalenie z rezerwatu, zarzut wzniecania ognia i 60 tys. zł grzywny płatne w dwa dni pod groźbą więzienia. Do tego trzyletni zakaz wjazdu do Chile. Od upadku junty Pinocheta minęło 36 lat, ale chilijska sprawiedliwość wciąż ma ciężką rękę i drakoński cennik. 60 patyków za jednego dymka na świeżym powietrzu?

▮ W Tarnowie pewna dama przez dziewięć lat, od 2017 r., szturmowała egzamin teoretyczny na prawo jazdy. Sukces przyszedł niespodziewanie – za 139. razem. Dyrektor tamtejszego WORD-u wyjaśnił, że kandydatka przez lata katowała jedynie wersję demo testów. Dopiero gdy dostała pełny zestaw pytań, doznała olśnienia. Teraz przed tą rekordzistką egzamin praktyczny. Mieszkańcy Tarnowa mają jeszcze chwilę, by wykupić dodatkowe ubezpieczenia i wzmocnić elewacje domów. Jeśli nauka obsługi myszki zajęła jej niemal dekadę, to opanowanie sprzęgła może potrwać do następnego stulecia. Tarnowianie, cieszcie się wolnością, póki ta maszyna losująca jeszcze nie wyjechała na miasto.

▮ 44-letni Romeo z powiatu świdnickiego udowodnił, że miłość ogłupia skuteczniej niż najtańszy bimber. Na elewacji zabytkowej kamienicy namalował wielkie czerwone serce – rzekomo dla „kobiety życia". Policja szybko sprowadziła go na ziemię. Konserwator wycenił poryw uczuć na 10 tys. zł. Za niszczenie zabytku grozi mu osiem lat więzienia. Ja bym mu dołożył drugie tyle za recydywę w byciu idiotą. Robienie takich numerów w piątej dekadzie życia to nie jest romantyzm, tylko ciężka patologia i brak jakichkolwiek rokowań na resocjalizację.

RJ

PS Rewelacje czerpiemy z prasy regionalnej – od wiejskich gazetek po miejskie szmatławce. Sami czasem przecieramy oczy ze zdumienia, więc nie miejcie do nas pretensji, jeśli i wam wiara przyjdzie z trudem. My nie kłamiemy, my tylko ewentualnie cytujemy kłamców. To subtelna różnica, która pozwala nam spać spokojnie, podczas gdy inni biegają po sądach.

Życie W DOBROBYCIE

● Wszyscy wokół opowiadają, że mieszkania nie są towarem. Skoro tak, to dlaczego sprzedają się tak dobrze? Bo z danych GUS wynika, że rok 2025 był dla budownictwa mieszkaniowego jednym z najlepszych w historii. Liczba mieszkań oddanych do użytku przekroczyła 220 tys. lokali, a rozpoczęto budowę ponad 230 tys. nowych mieszkań. A co najważniejsze, znaczną część tych inwestycji realizowali prywatni deweloperzy. Państwowych dopłat do kredytów w tym czasie nie było. Wygląda zatem, że gdy państwo nie dokłada pieniędzy do kredytów, budowy wcale nie zamarzają. Dlatego w 2025 r. deweloperzy oddali do użytku ponad 140 tys. mieszkań, więcej niż poprzednio. Indywidualni inwestorzy – czyli ludzie budujący domy dla siebie – wybudowali ok. 80 tys. lokali. Widać zatem, że budownictwo mieszkaniowe w Polsce jest dziś prywatnym biznesem. A firmy budują mieszkania nie dlatego, że państwo dopłaca klientom do kredytów, ale dlatego, że na mieszkaniach można zarobić. I to nieźle. Średnia wartość kredytu hipotecznego w Polsce przekroczyła w ostatnich latach 400 tys. zł, a oprocentowanie wynosiło około 7,5 proc. Przy takich parametrach banki nie należą do instytucji charytatywnych. W 2024 r. sektor bankowy zarobił na czysto 42 mld zł. Jeśli więc ktoś twierdzi, że banki potrzebują państwowych dopłat, żeby udzielać kredytów hipotecznych, to warto przypomnieć tę liczbę. Bo w 2024 r. udzielono w Polsce 202,7 tys. kredytów hipotecznych o łącznej wartości 85,2 mld zł. To o 25 proc. więcej kredytów niż rok wcześniej. A stało się to już po zakończeniu programu „Bezpieczny kredyt 2 proc.". Oznacza to, że nawet bez dopłat banki chętnie pożyczają pieniądze na mieszkania, a ludzie nadal je kupują. Deweloperzy i banki radzą sobie bez dopłat bardziej niż dobrze nawet wtedy, gdy państwo nie dokłada ani złotówki.

● Najlepszym przykładem jest Dom Development, który po rekordowym roku postanowił podzielić się zyskiem. Zarząd zaproponował wypłatę dywidendy na poziomie ponad 12 zł na akcję, co oznacza setki milionów złotych przekazanych akcjonariuszom. A przypomnijmy, że dywidenda nie bierze się z powietrza, tylko z czystego zysku, który wcześniej trzeba wypracować, sprzedając mieszkania po cenach akceptowanych przez klientów. Dlatego Dom Development zarobił w zeszłym roku 654 mln zł na czysto, czyli o 15 proc. więcej rok do roku, i to historyczny rekord. W 2025 r. Dom Development sprzedał 4448 mieszkań, czyli o 4 proc. więcej od dotychczasowego rekordu z 2024 r. To daje mu pozycję lidera rynku. Ba, na koniec roku w budowie miał 7166 mieszkań, z czego 56 proc. było już sprzedanych. Gdy więc państwo wycofało się z dopłat, rynek nie tylko się nie załamał, ale wręcz przyśpieszył. Zwolennicy dopłat powiedzą oczywiście, że to wszystko zasługa wcześniejszych programów i że bez

eprasa.pl cbc5cb04da

Opłatami za energię łupi nas nie Bruksela, tylko nasze własne państwo.

Ten straszny ETS



Rys. LESŁAW KUCZERSKI

Gdyby ktoś chciał zaprojektować rachunek za prąd tak, żeby obywatel płacił jak najwięcej i nie bardzo wiedział za co, to musiałby zrobić dokładnie to, co mamy w Polsce: ETS, podatek, który formalnie podatkiem nie jest, ale działa dokładnie tak samo. Bo choć oficjalnie mowa o „handlu uprawnieniami do emisji CO_2", „mechanizmie rynkowym" i „zachętach do transformacji", to w praktyce chodzi o pieniądze. Nie dla budżetu Brukseli, ale każdego z krajów do Unii należących.

System ETS, czyli europejski handel emisjami, działa prosto. Unia Europejska ustala, ile dwutlenku węgla mogą wyemitować elektrownie, fabryki i inne instalacje. Następnie wydaje uprawnienia do emisji, które trzeba mieć, żeby w ogóle móc produkować prąd czy stal i rozdaje je rządom.

Jeszcze kilkanaście lat temu tona emisji CO_2 kosztowała kilka euro. Dziś potrafi kosztować 60–70, a bywało, że przekraczała i 100 euro. Jeśli elektrownia węglowa emituje około 0,8–1 tony CO_2 na każdą megawatogodzinę prądu, to oznacza to prostą rzecz: do ceny energii trzeba doliczyć kilkaset złotych samego podatku od emisji.

Dojna krowa państwa

System ETS powstał w 2005 r. jako odpowiedź UE na zobowiązania wynikające z Protokołu z Kioto. Na początku uprawnień było za dużo, więc ich cena spadła niemal do zera. Druga faza, w latach 2008–2012, przyniosła zaostrzenie zasad. Uprawnień było mniej, ale wciąż dużą część rozdawano darmo, żeby przemysł się nie zbuntował. Prawdziwa zmiana przyszła dopiero od 2013 r., kiedy zaczęto przechodzić na system aukcyjny. To oznaczało, że zamiast dostawać uprawnienia darmo, firmy muszą je kupować. Kolejna reforma, po 2018 r., jeszcze bardziej ograniczyła liczbę uprawnień i wprowadziła mechanizmy sztucznego ich ściągania z rynku, żeby ceny rosły szybciej. Efekt był łatwy do przewidzenia. Cena CO_2 wystrzeliła, a razem z nią wystrzeliły wpływy do budżetów państw.

Od momentu wejścia w życie systemu ETS do dziś polski budżet zebrał ze sprzedaży uprawnień około 120–150 mld zł. Ostatnie lata to wpływy rzędu 20–25 mld zł rocznie. ETS stał się jednym z filarów dochodów państwa, a energetyka – jedną z głównych dojnych krów.

Oczywiście nie jest tak, że z ETS Bruksela nic nie ma, Około 90 proc. wpływów z aukcji trafia bezpośrednio do budżetów krajowych. Reszta do wspólnych funduszy unijnych. Kasę tę UE rozdaje w ramach różnych programów. Najważniejsze z nich to Fundusz Modernizacyjny oraz Fundusz Innowacyjny. Ten pierwszy jest przeznaczony głównie dla biedniejszych krajów, takich jak Polska, Rumunia czy Bułgaria, żeby mogły modernizować energetykę. Drugi wspiera nowe technologie, takie jak wodór, magazyny energii czy wychwytywanie CO_2.

Czyli Polacy płacą miliardy za emisje i część tych pieniędzy zostaje w kraju, a część trafia do Brukseli. Następnie Bruksela oddaje część tych pieniędzy Polsce w formie dotacji na zielone projekty.

Oficjalna narracja mówi, że pieniądze trafiające do polskiego budżetu z ETS mają iść na transformację energetyczną, czyli inwestycje w odnawialne źródła energii, poprawę efektywności czy modernizację systemu. Tyle że

od lat są wydawane na wszystko, co akurat państwo uzna za stosowne. Dokładnie tak samo jak VAT czy akcyza. Bo pieniądz, który raz trafi do budżetu, przestaje mieć metkę.

Byle kasa się zgadzała

Sam mechanizm ETS jest skonstruowany sprytnie. Formalnie to opłata za emisję. Nie płaci jej bezpośrednio obywatel, tylko elektrownia czy zakład przemysłowy. Tyle że żadna firma nie działa charytatywnie. Koszt zostaje doliczony do ceny produktu, czyli prądu, ciepła, cementu czy stali. A to oznacza, że ostatecznie płaci konsument. Dokładnie tak samo, jak płaci VAT w cenie chleba, choć formalnie podatnikiem jest piekarz.

W praktyce wygląda to tak, że rachunek za energię zawiera w sobie coraz większy udział kosztów ETS. W Polsce według różnych szacunków, udział ten w cenie energii elektrycznej potrafi sięgać niemal 30 proc. A to dlatego, że nasza energetyka oparta jest na węglu. Koszty ETS są więc u nas wyższe niż w krajach, które wcześniej przeszły na OZE czy atom.

Rachunki za prąd, gaz czy ciepłą wodę są od dawna rachunkami za system, w którym państwo i instytucje publiczne wyciągają pieniądze z każdej możliwej strony. Weźmy zwykły rachunek za energię elektryczną w 2026 r. Najpierw 23 proc. VAT. Do tego akcyza. Następnie opłata mocowa, która w 2026 r. rośnie o 50–66 proc., co dla przeciętnego gospodarstwa oznacza dodatkowe 20 zł miesięcznie. Dalej opłata OZE, opłata kogeneracyjna, opłata jakościowa, opłaty dystrybucyjne, abonamentowe i jeszcze kilka innych pozycji, których przeciętny odbiorca nie jest w stanie ani zrozumieć, ani policzyć. I dopiero gdzieś w tym wszystkim jest koszt samej energii, a w nim ETS.

Z jednej więc strony państwo mówi obywatelom, że ETS podnosi ceny energii, bo trzeba walczyć z klimatem. Z drugiej – to samo państwo inkasuje z ETS dziesiątki miliardów złotych rocznie. Czyli zarabia na tym, że energia jest droższa.

I to jak zarabia! Minimalna stawka VAT na prąd w Unii wynosi obecnie 5 proc., a w przypadku akcyzy jest to 0,5 euro za megawatogodzinę. W Polsce obecnie obowiązuje 23 proc. VAT na energię, a akcyza to 5 zł za megawatogodzinę. W obydwu przypadkach są to stawki kilkakrotnie powyżej unijnego minimum. Bo państwo polskie, widać, uznaje, że prąd czy gaz to dobra luksusowe. Gdyby było inaczej, to nie byłoby akcyzy, a VAT byłby taki jak za chleb czy mleko, czyli pięcioprocentowy.

I teraz dochodzimy do sedna sprawy. Skoro państwo zarabia na ETS, to mogłoby bez wychodzenia z Unii oddać te pieniądze obywatelom. Nie w formie dopłat, programów czy skomplikowanych funduszy, ale poprzez obniżkę podatków i opłat, które samo nakłada na energię.

Bo przecież VAT na prąd wynosi 23 proc. Akcyza jest naliczana w cenie. Opłata mocowa rośnie o kilkadziesiąt procent. Opłaty OZE i kogeneracyjne są obowiązkowe. Gdyby państwo obniżyło choć część tych obciążeń, to efekt ETS zostałby w dużej mierze zneutralizowany.

Można to policzyć. Jeśli państwo inkasuje rocznie około 25 mld zł z ETS, to przy około 15 mln gospodarstw domowych daje to średnio ponad 1600 zł rocznie na gospodarstwo. Czyli ponad 130 zł miesięcznie. To więcej, niż dostaje z VAT i akcyzy. Ale państwo tego nie zrobi. I nie zrobi z bardzo prostego powodu. Bo państwu zawsze brakuje pieniędzy.

Krokodyle łzy polityków

I właśnie w tym momencie na scenę wchodzi kolejny pomysł, który pokazuje, że apetyt rośnie wraz z jedzeniem. Mowa o ETS 2, czyli rozszerzeniu systemu handlu emisjami na zupełnie nowe obszary. Tym razem chodzi nie o elektrownie i wielkie zakłady przemysłowe, ale o zwykłych ludzi. O ogrzewanie domów i o paliwa do samochodów.

„Nowy podatek uderzy w miliony Polaków" – alarmują media. I trudno się z tym nie zgodzić, bo ETS 2 ma objąć paliwa używane w domach i transporcie. Czyli gaz, węgiel, olej opałowy, a także benzynę i diesla. Wszystko to, co nie jest luksusem, ale podstawą codziennego funkcjonowania.

Mechanizm ma być dokładnie taki sam jak dziś. Dostawcy paliw będą musieli kupować uprawnienia do emisji CO_2, a ich koszt doliczą do ceny. Czyli rachunki za ogrzewanie i tankowanie pójdą w górę. Szacunki mówią o wzrostach rzędu kilkudziesięciu procent w dłuższym okresie. Już dziś pojawiają się wyliczenia, że gospodarstwa domowe mogą płacić rocznie o kilka tysięcy złotych więcej.

W przypadku gazu wygląda to tak, że dziś rachunek składa się z ceny paliwa, 23 proc. VAT, akcyzy i opłat dystrybucyjnych. Po wejściu ETS 2 dojdzie koszt emisji. W przypadku ogrzewania sytuacja będzie podobna. Opłata za ciepło, opłata za moc zamówioną, VAT, abonament i do tego koszt ETS 2. Czyli rachunek znów urośnie, a państwo znów będzie inkasować więcej, bo wyższa cena oznacza wyższy VAT.

Scenariusz będzie identyczny jak w przypadku obecnego ETS. Najpierw wzrost cen, potem wpływy do budżetu, a na końcu opowieść o tym, że pieniądze idą na transformację. A że w cenie paliwa i tak już jest opłata środowiskowa? Tym gorzej dla niej i klienta stacji benzynowej. Ważne, że państwo będzie miało dodatkowe miliardy.

A wystarczyłoby obniżyć VAT, zmniejszyć akcyzę, ograniczyć opłaty systemowe. Wtedy wzrost cen wynikający z ETS 2 zostałby zneutralizowany. Ale to oznaczałoby oddanie pieniędzy. A państwo pieniędzy nie oddaje. Bez względu na to, kto nim rządzi.

TADEUSZ JASIŃSKI

---

nich rynek by zamarł. Problem w tym, że liczby temu przeczą. Rekord z 2021 r., kiedy udzielono 256 tys. kredytów o wartości 85,6 mld zł, nie był efektem żadnego specjalnego programu dla kupujących mieszkania, tylko ubocznym skutkiem szerokiego strumienia pieniędzy wpompowanych w gospodarkę w czasie pandemii. Deweloperzy doskonale o tym wiedzą i dlatego działają tam, gdzie widzą zysk, a nie tam, gdzie państwo rozkłada parasol ochronny. Jeśli sprzedają mieszkania i generują rekordowe wyniki, to dlatego, że potrafią dopasować ofertę do rynku, kontrolować koszty i korzystać z finansowania, które i tak jest dostępne. W takiej sytuacji dopłaty działają jak premia za coś, co i tak by się wydarzyło. Podnoszą ceny, zwiększają marże i przenoszą pieniądze z budżetu państwa do kieszeni firm, właścicieli gruntów oraz banków.

● Bez finansowego wspomagania przez państwo kredytów PKO BP w 2025 r. wykręcił wynik, jakiego jeszcze nie było. Zysk sięgnął około 9,3 mld zł, podczas gdy rok wcześniej było to nieco ponad 6 mld zł. Wzrost o ponad 50 proc. w rok to wynik, którego nie powstydziłaby się żadna spółka technologiczna, a mówimy przecież o banku, który teoretycznie powinien zarabiać spokojnie i przewidywalnie. Ta góra pieniędzy wzięła się głównie z odsetek. Wynik odsetkowy, czyli to, co bank zarabia na kredytach po odjęciu tego, co płaci za depozyty, przekroczył 20 mld zł. Rok wcześniej było to około 16 mld zł, co oznacza skok o jedną czwartą. Innymi słowy, różnica między oprocentowaniem kredytów a lokat urosła do poziomu, który dla klientów oznacza drogie raty, a dla banku rekordowe wpływy. Do tego doszły prowizje i opłaty, które przyniosły kolejne 5 mld zł, rosnąc rok do roku o kilka procent. Bank zarabiał na wszystkim – od kart płatniczych przez przelewy aż po sprzedaż produktów inwestycyjnych. Koszty oczywiście też rosły, ale znacznie wolniej niż przychody. Wskaźnik kosztów do dochodów utrzymał się na poziomie około 40 proc., co w praktyce oznacza, że z każdych 100 zł zarobionych przez bank aż 60 zł zostawało jako nadwyżka. W normalnym biznesie takie proporcje zdarzają się rzadko, ale w bankowości, przy odpowiednich warunkach, jak widać, jak najbardziej. Skala działalności PKO BP sprawia, że liczby te robią jeszcze większe wrażenie. Bank obsługuje ponad 11 mln klientów, ma aktywa przekraczające 500 mld zł i udziela kredytów liczonych w setkach miliardów. Z perspektywy klienta wygląda to jednak mniej spektakularnie. Bo te 9,3 mld zł zysku to w praktyce kasa zapłacona bankowi przez miliony ludzi i firm. Każda rata kredytu, każda opłata za konto i każda prowizja dokładały swoją cegiełkę do tego wyniku. Dlatego rekord PKO BP nie jest tylko historią sukcesu jednej instytucji, ale też rachunkiem wystawionym milionom Polaków.

● Komisja Nadzoru Finansowego postanowiła sięgnąć do kieszeni jednego z największych banków działających w Polsce i nałożyła na Santander Bank Polska kary przekraczające 20 mln zł, wskazując przy tym, że instytucja dopuściła się „nieprawidłowości w systemie zarządzania ryzykiem, kontroli wewnętrznej oraz w zakresie przekazywania rzetelnych informacji klientom". KNF zarzuciła bankowi m.in. to, że instytucja nie była w stanie w odpowiednim czasie wychwycić błędów w swoim własnym funkcjonowaniu, a także że system zarządzania ryzykiem nie zapewniał właściwej ochrony klientów, co jest o tyle ciekawe, że banki od lat tłumaczą wszelkie opłaty właśnie koniecznością „zarządzania ryzykiem". Jednym z istotnych elementów zarzutów było również niewłaściwe informowanie klientów o produktach finansowych, w tym o kosztach i warunkach umów, co oznacza, że przeciętny klient nie wiedział, na co się zgadza, podpisując dokumenty przygotowane przez bank. Et cetera, et cetera… Ale choć 20 mln zł brzmi jak kwota ogromna, to w zestawieniu z ponad 5,2 mld zł zysku osiągniętego przez bank w 2024 r. wygląda raczej jak opłata manipulacyjna niż realna sankcja. Coś w rodzaju kosztu, który można łatwo przerzucić na klientów poprzez podniesienie marż, prowizji czy opłat. W efekcie powstaje sytuacja, w której urzędnicy nakładają karę, bank ją płaci, a klient – nawet o tym nie wiedząc – zaczyna to spłacać. Najciekawsze, że odpowiedzialność za opisane przez nadzór przekręty pozostaje bezosobowa, bo nikt nie wskazał konkretnego menedżera, który zapłaciłby za nie z własnej kieszeni. Winni pozostają więc bezkarni, a karę spłacają Bogu ducha winni klienci.

● Obciążanie przez banki klientów za własne przewiny to jeszcze nic. Potrafią też karać ofiary przestępstw. Zwracają bowiem kasę klientom będącym ofiarami oszustw, ale robią to z zastrzeżeniem późniejszego dochodzenia roszczeń. W praktyce oznacza to, że klient dostaje pieniądze w ciągu kilku dni lub tygodni, ale po pewnym czasie dostaje również pozew. W wielu przypadkach chodzi o kwoty idące w dziesiątki, a nawet setki tysięcy złotych, które zostały wyprowadzone z konta na skutek oszustwa, często metodą „na pracownika banku" czy „na inwestycję". Bank oddaje np. ukradzione 50 czy 100 tys. zł, po czym domaga się ich zwrotu, argumentując, że klient „nie dochował należytej ostrożności". W efekcie osoba, która padła ofiarą przekrętu, musi jeszcze udowadniać przed sądem, że nie jest winna utraty własnych pieniędzy. Trwa to latami, w ciągu których klient banku żyje w niepewności, czy będzie musiał oddać pieniądze. System działa więc w sposób wyjątkowo komfortowy dla banków. Z jednej strony budują wizerunek instytucji dbających o klientów, zwracając im pieniądze i podkreślając swoje zaangażowanie w walkę z oszustwami. Z drugiej – kierują sprawy do sądów, próbując odzyskać wypłaconą kasę. Czy trzeba lepszego przykładu na to, czym jest banksterstwo?

TTJ



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

eprasa.pl cbc5cb04da

Orbán, Magyar dwa bratanki

Nadzieja węgierskiej demokracji niewiele się różni od jej grabarza

Co jest do wyboru na Węgrzech? Jest opcja prawicowa, skrajnie prawicowa i opcja faszystowska. Do tego ogranicza się dziś węgierski wybór. W efekcie majstrowania przy ordynacji, w wyborach, które odbędą się za dwa tygodnie, startują tylko cztery partie – i dodatkowo formacja o bliżej nieokreślonym charakterze. To ta, którą w Polsce nazywa się nadzieją demokracji na Węgrzech: Tisztelet és Szabadság – Szacunek i Wolność – w skrócie TiSza.

TiSza to coś na kształt stowarzyszenia: cała ekipa liczy sobie 29 osób i nazywa się partią, choć nie spełnia wymogów formalnych. Fidesz chce wzmocnić TiSzę, żeby prawdziwa opozycja zniknęła. TiSza nie chce żadnej konkurencji i z opozycji mają znikać wszyscy, którzy mają zdanie inne niż jej szef Péter Magyar. Magyar to idol polskich demokratów. Warto więc przyjrzeć mu się bliżej.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wielu Węgrów pamięta obrazek: rozradowany Péter z flaszką szampana tańczący w tłumie fetującym zwycięstwo Fideszu w 2024 r. Orbán był wówczas jego wzorem, wiele razy zachwycał się tym, jak dobrze jest przygotowany i poinformowany; twierdził nawet, że premier Węgier byłby świetnym szefem Komisji Europejskiej.

Zanim gwiazda polityczna Magyara rozbłysła – przed rokiem 2024 – bywał on na różnych imprezach politycznych i namiętnie oklaskiwał Orbána. Siadywał zawsze w pierwszym rzędzie – nawet wtedy, gdy nie przysługiwało mu to miejsce. Jak wtedy, gdy jego żona przestała być ministrem sprawiedliwości, a on utracił dochodowe posady w różnych organizacjach i radach nadzorczych. Dziwnym trafem nawet po rozstaniu z Orbánem zawsze miał pieniądze na zorganizowanie demonstracji z profesjonalnym sprzętem nagłaśniającym o dużej mocy. Także wtedy, kiedy jakoby nie miał żadnych wpływów. Skąd je wziął? Oczywiście z forintów podatkowych. A plakaty, organizacja trasy, która przy paru eventach tego samego dnia w różnych miejscach wymaga co najmniej trzech scen wraz z nagłośnieniem, ulotki, działalność organizacji, obsługa? Niech nikt mi nie mówi, że to wszystko dzieje się z darowizn. Fidesz za tym stoi.

Już w 2006 r. jako młody adwokat Péter Magyar zapewnił ochronę prawną organizatorom zamieszek, które doprowadziły do spalenia gmachu publicznej telewizji. Od tego czasu jego relacje z mediami są bardzo specyficzne. Regularnie instruuje reporterów, o co go pytać. Jeśli dostaje pytanie niewygodne, odpowiada, że to propaganda, i dyskredytuje osobę, która je zadała. Tak jak to zwykle robi Fidesz.

Magyar namiętnie przemawia w imieniu Węgrów – ogłosił na przykład, że „Węgrzy gratulują" Trumpowi zwycięstwa wyborczego. Tak samo jak Fidesz przedkłada rządy silnej ręki nad demokrację i nie ukrywa, że dąży do zdobycia dwóch trzecich głosów w parlamencie – co pozwoli mu na rządy de facto autokratyczne. Dlatego bardzo szczęśliwy byłby, gdyby Koalicja Demokratyczna – centrolewicowa opozycja – nie dostała się do parlamentu.

Proeuropejski przywódca węgierskiej opozycji Péter Magyar od 2024 r. jest europosłem. Pożytek z niego Węgrzy mieli niewielki, głównie ze względu na niezliczone nieobecności; np. między czerwcem 2025 i lutym 2026 r. nie pojawił się na obradach ani razu. A kiedy już był obecny, nie prezentował postawy zgodnej z oczekiwaniem polskich „obrońców demokracji": nigdy nie głosował za wsparciem dla Ukrainy, nie poparł też planu obronnego UE. Nie głosował za prawem kobiet do samostanowienia w kwestii aborcji i antykoncepcji.

Mówił o przystąpieniu do Prokuratury Europejskiej, ale nie głosował za rekomendacją PE wzywającą do współpracy z nią. Bardzo ostro atakował też raport Judith Sargentini, który stał się podstawą do uruchomienia wobec Węgier art. 7 Traktatu o UE (to ten o naruszaniu praworządności). Jego zdaniem raport był pełen absurdalnych twierdzeń; nie podobały mu się też określenia typu „praworządność" i „demokracja".

Zdaniem wielkiej nadziei węgierskiej demokracji, obecna, napisana przez Orbana ordynacja wyborcza, jest dobra; jej zmiana nie znalazła się wśród pierwszych 50 zadań dla potencjalnego nowego rządu. Co więcej, Magyar zapowiada zmianę finansowania partii – z budżetowego, zależnego od wyników wyborczych na odpis podatkowy w formule 1 proc.

Jego 29-osobowe stowarzyszenie też nie działa demokratycznie i zgodnie z przepisami; jak wspomnieliśmy, formalnie nie jest partią, choć za partię się podaje.

I tu rodzi się pytanie: dlaczego Péter Magyar miałby uważać, że kraj powinien funkcjonować w oparciu o przepisy prawa, skoro jest przyzwyczajony do tego, że wszystko może załatwić i wszystko mu wybaczą?

I drugie pytanie: czy kiedykolwiek przeprosił za to, że do roku 2024 chodził do łóżka z Fideszem, zarabiając przy okazji setki milionów?

LÁSZLÓ BALOGH



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Wojna bez zwycięstwa

Początek zmierzchu globalnej hegemonii

wojna ujawniła granice amerykańskiej siły w regionie. Bazy wojskowe wykorzystywane przez USA w Zatoce Perskiej nie są już tak bezpieczne, jak wcześniej sądzono; stały się bezpośrednim celem ataków.

Po trzech tygodniach izraelsko-amerykańskiej agresji na Iran nasuwa się zasadnicze pytanie: co osiągnęli Donald Trump i Binjamin Netanjahu w tej wojnie, w której mieli odnieść szybkie i decydujące zwycięstwo?

Od pierwszych godzin Waszyngton i Tel Awiw promowały narrację, że uderzenia wymierzone są w „głowę systemu" w Iranie i doprowadzą do załamania kierownictwa oraz sparaliżowania zdolności państwa do odpowiedzi. Mówiono o eliminacji kluczowych dowódców i precyzyjnych atakach, które zakończą zagrożenie ze strony Iranu. Jednak z biegiem dni okazało się, że była to część równoległej wojny informacyjnej, mającej podnieść morale wewnętrzne i wprowadzić w błąd opinię publiczną na świecie.

Na ziemi obraz był zupełnie inny. Tysiące cywilów padły ofiarą bombardowań, w tym setki dzieci w szkołach i dzielnicach mieszkalnych. Te zbrodnie nie osłabiły państwa irańskiego. Przyniosły odwrotny skutek: szeroką mobilizację społeczną wokół przywództwa oraz wzmocnienie ducha oporu. Narody poddane zewnętrznej agresji nie upadają łatwo – przeciwnie, jednoczą się. Tak stało się w Iranie.

Na poziomie militarnym nie nastąpiło „szybkie rozstrzygnięcie", które zapowiadali Trump i Netanjahu. Wręcz przeciwnie – Iran pokazał zdolność do odpowiedzi i prowadzenia długotrwałej konfrontacji. Z czasem zaczęła się kształtować nowa równowaga odstraszania, której istotą jest fakt, że ta wojna nie będzie łatwa ani krótka, a jej koszty będą rosły.

Donald Trump, który rozpoczął swoją drugą kadencję od agresywnej i konfrontacyjnej polityki, nie ograniczył się do eskalacji napięć na Bliskim Wschodzie. Wcześniej groził różnym państwom – od Kanady po Wenezuelę – a nawet sugerował destabilizację małych krajów, takich jak Grenada.

Taka postawa odzwierciedla mentalność hegemonii, która coraz mniej odpowiada realiom szybko zmieniającego się świata. Historii nie czyta się wyłącznie przez pryzmat siły – wymaga ona zrozumienia doświadczeń narodów, a Iran nie jest państwem, które można łatwo podporządkować.

Podobnie Binjamin Netanjahu, który prowadził niszczycielską wojnę w Strefie Gazy i dopuścił się zbrodni o charakterze ludobójczym wobec narodu palestyńskiego, wszedł w tę konfrontację przekonany o szybkim zwycięstwie. Liczył na odbudowę swojej pozycji politycznej i realizację wizji „Wielkiego Izraela". Dziś jednak stoi wobec zupełnie innej rzeczywistości: wielu frontów, rosnącej presji międzynarodowej oraz pogarszającego się wizerunku Izraela na świecie.

Najbardziej niepokojące – z punktu widzenia agresorów – jest to, że

Budzi to rosnący niepokój wśród państw Zatoki, które zaczynają rozumieć, że amerykańska ochrona nie jest absolutną gwarancją bezpieczeństwa.

To wpisuje się w szerszy kontekst: stopniowy spadek amerykańskiej hegemonii w systemie międzynarodowym. Świat nie jest już jednobiegunowy jak po zakończeniu zimnej wojny, lecz zmierza w kierunku wielobiegunowości narzucanej przez nowe potęgi i niezależne siły. Wojny prowadzone według logiki ubiegłego wieku mogą przynosić skutki odwrotne do zamierzonych – co widzimy obecnie.

Donald Trump i Binjamin Netanjahu chcieli, aby ta wojna była demonstracją siły i narzędziem odstraszania. Tymczasem stała się ona testem granic tej siły. W miarę trwania konfliktu coraz wyraźniej widać niepowodzenie deklarowanych celów, przy jednoczesnej odporności Iranu i jego wewnętrznej spójności.

Ta wojna może nie zakończyć się szybko, a nadchodzące dni mogą przynieść dalszą eskalację.

Jedno jest jednak pewne: mamy do czynienia z momentem przełomowym. Gdy siła przestaje przynosić rezultaty, a zaczyna być strategicznym obciążeniem, równowaga sił ulega zmianie.

W tym kontekście świat zdaje się stać u progu nowej epoki – epoki, w której zdolność Stanów Zjednoczonych do narzucania swojej woli słabnie, a inne siły zaczynają odgrywać coraz większą rolę. Jeśli obecna polityka oparta na agresji i dominacji będzie kontynuowana, skutkiem nie będzie tylko porażka w pojedynczych konfliktach, lecz przyśpieszenie upadku amerykańskiej hegemonii na świecie.

Historia pisze się dziś nie w deklaracjach, lecz w realiach pola walki. A to, co obserwujemy, wskazuje wyraźnie: era jednostronnych dyktatów dobiega końca, a narody, które potrafią się bronić i jednoczyć, są w stanie zmieniać układ sił – niezależnie od potęgi przeciwnika.

OMAR FARIS

SŁOWO CZERWONE

Tyle rakiet mam...

Między wojną a ludobójstwem

„Mam tyle rakiet, że mogę zaatakować dowolny kraj i wygrać" – zaatakował Iran i póki co nie wygrał. Żeby uspokoić rynek ropy i gazu ogłosił, że poprowadzi negocjacje z Iranem, czemu Iran zaprzecza. Netanjahu popędza prezydenta USA, żeby dokończył robotę. A Trump już wyraźnie chce do domu. Ma dość awantury, którą rozpętał pod wpływem Izraela. Wśród sześciu punktów mających warunkować pokój Trump nie zawarł żadnego, na który nie zgodził się Iran podczas rozmów pokojowych w Genewie. Nie ma teraz mowy o zniesieniu reżimu. Nie padają też takie pojęcia jak demokracja czy prawa człowieka.

Wygląda więc na to, że USA nie miały żadnego powodu do wszczęcia wojny. Powód za to miał Izrael. Który chce zmusić USA do zrównania Iranu z ziemią. Nikt jednak nie przewidział, że oznaczać to będzie zrównanie z ziemią całego Bliskiego Wschodu. Na zapowiedź uderzenia w irańską energetykę Iran odpowiedział: „Kiedy zburzyliście szpital, nie odpowiedzieliśmy tym samym, kiedy uderzyliście w szkoły, nie zrobiliśmy tego, ale jeśli uderzycie w nasze elektrownie, zniszczymy elektrownie w całym regionie".

Władze w Teheranie zapowiedziały, że po okresie strategii obronnej zamierzają teraz przejść do ofensywy. Żelazna Kopuła nie jest już szczelna. A Amerykanom też zaczynają się kończyć pociski. Atakowanie państw sąsiednich bierze się z faktu, że kraje te użyczyły swych terytoriów na bazy, z których atakowany jest Iran.

Jeszcze niedawno Iran był powszechnie potępiany przez opinię światową za łamanie praw człowieka. A teraz nawet pretendent do objęcia władzy w Teheranie, potomek szacha Pahlaviego, potępia strategię spalonej ziemi, która wymierzona jest już nie tylko w reżim ajatollahów, ale w naród irański. Niszczony przez USA oraz Izrael Iran zażąda wysokiej ceny za zakończenie konfliktu i odblokowanie cieśniny Ormuz. USA zostaną upokorzone, jeśli nie chcą utknąć w tym konflikcie i pogrążyć świata w chaosie i kryzysie gospodarczym.

Już teraz Trump szuka wymówek, kozłów ofiarnych i wyjścia awaryjnego. Zwala odpowiedzialność na szefa Pentagonu, ale prędzej czy później będzie musiał wskazać na Izrael, który metodą nacisków i kłamstw wepchnął swego wielkiego brata w to szambo. Wejście wojsk lądowych do Iranu, kraju liczącego

eprasa.pl cbc5cb04da

Między Rosją a Europą

Nieznany kraj za Bugiem

W minionym tygodniu miały miejsce zdarzenia dość istotne z punktu widzenia geopolityki. Donald Trump oświadczył z pewną pretensją, że europejscy sojusznicy wypięli się na niego w sprawie ataku na Iran. Trudno nam się dziwić. Bo jeśli jeszcze niedawno pomysły o aneksji Kanady, połknięciu Grenlandii, stąpaniu po Kubie można było traktować jako polityczną hucpę i element wizerunkowego kabaretu człowieka w czerwonej bejsbolówce, to w zestawieniu z porwaniem Maduro oraz realnym bombardowaniem ludzi w Iranie przestają śmieszyć. Zaczynają niepokoić. Europejscy przywódcy doszli do wniosku, że człowiek, który żartuje z podbijania świata, może w pewnym momencie przestać żartować.

Pierwsza dama do ostatniego dyktatora

Dwa incydenty przeszły jednak niemal niezauważone. Oto na Białoruś, by uścisnąć dłoń Aleksandra Łukaszenki, pofatygował się niejaki John Coale. To amerykański prawnik, wysłannik Trumpa do spraw zbyt śliskich, by zajmowała się nimi oficjalna dyplomacja. Panowie debatowali o relacjach Mińska z Waszyngtonem oraz o tym, co Łukaszenka mniema o wojnie w Iranie i dalszym rozwoju wypadków. Coale napomknął również o konieczności spotkania Donalda i Aleksandra w samym Waszyngtonie.

Wypłynęła również informacja o liście pierwszej damy USA do Łukaszenki. Pismo dotyczyło ukraińskich dzieci przebywających na terytorium Rosji – sprawy, która od dłuższego czasu budzi międzynarodowe kontrowersje.

W każdym razie te zdarzenia musiały zrobić wrażenie na Łukaszence rządzącym Białorusią od ponad 30 lat. Oto bowiem zwrócił się do narodu słowami: „wybierzcie sobie nowego prezydenta". Zdanie to, wypowiedziane przez człowieka, który konsekwentnie pilnuje, żeby nikt inny na to stanowisko nawet się nie rozgrzewał, zadziwia. Może mamy do czynienia z nagłym przypływem skromności lub ironicznym mrugnięciem okiem do historii, a może – z formą politycznej groźby? Można przecież to rozumieć tak: „proszę bardzo, wybierzcie, tylko potem nie płaczcie, jak zobaczycie, co się stanie, kiedy mnie zabraknie". To brzmi nie jak zaproszenie do wyborów, lecz jak eksperyment myślowy z gatunku tych, których lepiej nie przeprowadzać w rzeczywistości.

Recepta na święty spokój

Nie da się pojąć tej sytuacji bez zrozumienia Białorusi – kraju o ustroju absolutnie osobliwym. To ani klasyczna dyktatura, ani normalne państwo europejskie. W polskiej wyobraźni po prostu wymazaliśmy ją z mapy, choć to terytorium większe niż połowa członków Unii. Żyjemy w złudzeniu, że nasza główna wschodnia granica styka się z Rosją. Otóż nie. Z Rosją graniczymy jedynie przez 210 km obwodu królewieckiego – odciętej od macierzy eksklawy.

Nasze wyobrażenie o Białorusi to zestaw obowiązkowy: bieda, dyktatura i strach. To ta łatwiejsza część prawdy. Reszta jest znacznie bardziej kłopotliwa, bo… całkiem normalna. Ustrojowo mamy tam do czynienia z państwowym kapitalizmem administracyjnym. To system, który nie działa według logiki zysku, lecz według logiki dekretu. Nie produkuje się dlatego, że to się opłaca, ale dlatego, że trzeba. Fabryka nie upada przez złe zarządzanie – trwa, bo ktoś uznał, że trwać powinna. Zatrudnienie jest ważniejsze niż efektywność, a państwowe banki kroplówką finansują trupy, które w normalnym kapitalizmie dawno zostałyby elegancko zakopane. Łukaszenko nie myśli kategoriami rynku, tylko stabilności. Jego credo brzmi: system ma działać, ludzie mają mieć robotę, reszta to didaskalia. Wizja mało błyskotliwa, ale skuteczna, jeśli celem nie jest szaleńczy rozwój, lecz godziwe trwanie bez społecznych wybuchów.

To nie jest system trzymany wyłącznie na pałkach i terrorze, jak chcieliby nasi domorośli stratedzy. Opozycja białoruska jest słaba nie tylko dlatego, że czasem ktoś dostanie po gębie – co zresztą świetnie wygląda w zachodnich mediach. Jej prawdziwym problemem jest brak masowego poparcia. Białorusini, ku rozpaczy demokratycznych idealistów, wyżej cenią święty spokój niż wolność, a pragmatyzm niż ideologiczne uniesienia. To nie jest naród ani szczególnie wierny reżimowi, ani zakochany w demokracji. To społeczeństwo, które po prostu funkcjonuje.

Szkoły uczą, szpitale leczą, a administracja działa z precyzją, która dla Polaka przyzwyczajonego do swojskiego burdelu instytucjonalnego musi brzmieć jak egzotyka. Tam nie ma chaosu, w którym wszystko jest możliwe, ale nic pewne. W zamian dostaje się egzystencję w trybie „bez fajerwerków". Jedna praca na lata, brak oszałamiających karier, ale i brak spektakularnych bankructw. Szans na wielki skok nie ma, ale ryzyko nagłej katastrofy życiowej jest niemal zerowe.

Łukaszenko nie jest żadnym Hitlerem, ale pragmatykiem. Najpierw patrzy na mapę, a dopiero potem na ideologię. I wyciąga z tej mapy wnioski. Jego sąsiadem jest Rosja. Konkretna. Rynek zbytu, źródło surowców i partner, z którym łączą go więzi jeszcze z czasów, kiedy granice miały charakter raczej dekoracyjny.

To oczywiście oznacza zależność, jednak nie oznacza automatycznie podległości. Białoruś nie jest rosyjską gubernią, choć wielu w Polsce bardzo by to ułatwiło myślenie. Ma własną walutę, parlament (nawet dwuizbowy, co brzmi szczególnie poważnie), armię i wszystkie inne atrybuty suwerennego państwa. A przede wszystkim Łukaszenkę, czyli człowieka, który z uporem pilnuje, żeby te atrybuty nie stały się wyłącznie dekoracją.

Samce alfa nad mapą Europy

Oficjalnie Łukaszenko kocha Putina tak namiętnie, że aż słychać zgrzytanie zębów. To miłość lokatora do kamienicznika: z jednej strony karesy i zapewnienia o dozgonnym przywiązaniu, z drugiej – wieczne kombinowanie przy czynszu i próby zajęcia dodatkowego pokoju „tylko na chwilę".

W praktyce to nieustanny slalom: ile wyszarpać od Rosji, by nie zadłużyć się politycznie ponad stan, i ile ugrać na Zachodzie, by Moskwa nie dostała apopleksji. Balansowanie na linie bez siatki przed publicznością, która co rusz rzuca w akrobatę kamieniami.

Brzmi znajomo? Oczywiście. To ta sama szkoła przetrwania, którą ćwiczyła ekipa Gierka: oficjalnie pełna uległość, a pod stołem wieczne sprawdzanie, gdzie kończy się lojalność, a zaczyna się własny interes.

Zatem zapewne Trump zerka na mapę i nagle dostrzega, że między Polską a Rosją leży całkiem spory kraj – większy od Węgier, rządzony przez faceta o charakterze, powiedzmy, konkretnym. Takiego, co nie bawi się w subtelności. Nie grzęźnie w komisjach i nie ma w zwyczaju certolić się z rzeczywistością. To typ, który musi budzić szacunek u Amerykanina wychowanego na micie twardego lidera – zwłaszcza na tle europejskiej klasy politycznej, przypominającej raczej radę pedagogiczną niż zarząd świata.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Odrzućmy naiwność: John Coale nie leci do Mińska gawędzić o Iranie. O Iranie można pogadać przez telefon. Pierwsza dama nie pisze listów do Łukaszenki z czystej dobroci serca, a ten nie wypuszcza 250 więźniów politycznych i nie przebąkuje o dymisji, bo nagle poczuł powiew demokracji. To wszystko wygląda jak staranne przygotowanie gruntu pod nowy interes.

Łukaszenko ma już karierę za sobą. To etap, w którym dyktator przestaje pytać „jak rządzić?", a zaczyna drżeć o to, czy jego pomnik stanie na placu, czy wyląduje w przypisie do podręcznika historii. To zupełnie inna psychologia władzy – walka o nekrolog.

No i wyobraźmy sobie, że w Waszyngtonie wpadli na pomysł banalny i niebezpieczny zarazem: postawić Mińsk przed wyborem: Rosja albo Zachód. Dla Łukaszenki to psychologicznie nie do przyjęcia – to jak kazać zawodowemu bigamiście rozwieść się z jedną żoną, zamieszkać z drugą i jeszcze publicznie ogłosić, że ta pierwsza zawsze go brzydziła. Ale zawsze jest jakieś „ale".

A co, jeśli stery przejmie ktoś młodszy, „europejski w wyrazie"? Najlepiej z odpowiednim nazwiskiem (Łukaszenko ma w aparacie dwóch synów), by zachować ciągłość klanu, choć już nieco inaczej kierunek marszu. Wtedy nagle mogłoby się okazać, że ten sam człowiek, który przez trzy dekady betonował system, przejdzie do historii jako ten, który go skruszył. Jako mąż stanu, który wpuścił Europę na Białoruś.

Zdrada w polityce to nie emocja, lecz chłodna kalkulacja momentu, w którym stary układ przestaje się opłacać. Polska zdradziła ZSRR, gdy tylko poczuła, że kolos się chwieje. Dlaczego Białoruś miałaby być bardziej lojalna wobec Kremla niż my wobec Moskwy?

Zapałki w łapach blondyna

Jest jeszcze jeden argument, znacznie cięższy od listów pierwszej damy. Amerykańskie Abramsy grzeją silniki nad Bugiem. Oficjalnie to „element obrony", ale lufy zawsze muszą w którąś stronę celować. Te akurat nie patrzą na daleką Moskwę, lecz na bliski Mińsk. Dla Łukaszenki to nie geopolityczna abstrakcja, tylko realna stal, która może mu wjechać na podwórko.

Na Kremlu zapewne zawrzało. Odejście Łukaszenki to nie byłaby roszada, lecz katastrofa – utrata całego, misternie tkanego układu. Ktoś nowy mógłby w Zachodzie dostrzec okazję, co brzmi majdanicznie i niebezpiecznie. Rosja na to nie pozwoli, nie po Ukrainie. Logika Putina jest prosta: tracisz kontrolę nad sąsiadem, to ją przywracasz. Po co inwazja, skoro rosyjskie wojska już tam są, a granica między obecnością a interwencją jest płynna jak kurs rubla. Pytanie brzmi: co zrobi NATO, gdy Rosja zacznie „stabilizować" Białoruś?

Nagle to nie wojna na dalekich stepach, lecz awantura tuż za miedzą. Przekonanie, że „trzeba coś zrobić", rozpełza się u nas szybciej niż przy Ukrainie. Za Donbas nikt umierać nie chce, ale śmierć za Brześć brzmi już jakoś swojsko – pachnie kurzem z ułańskich portek. Niebezpiecznie blisko.

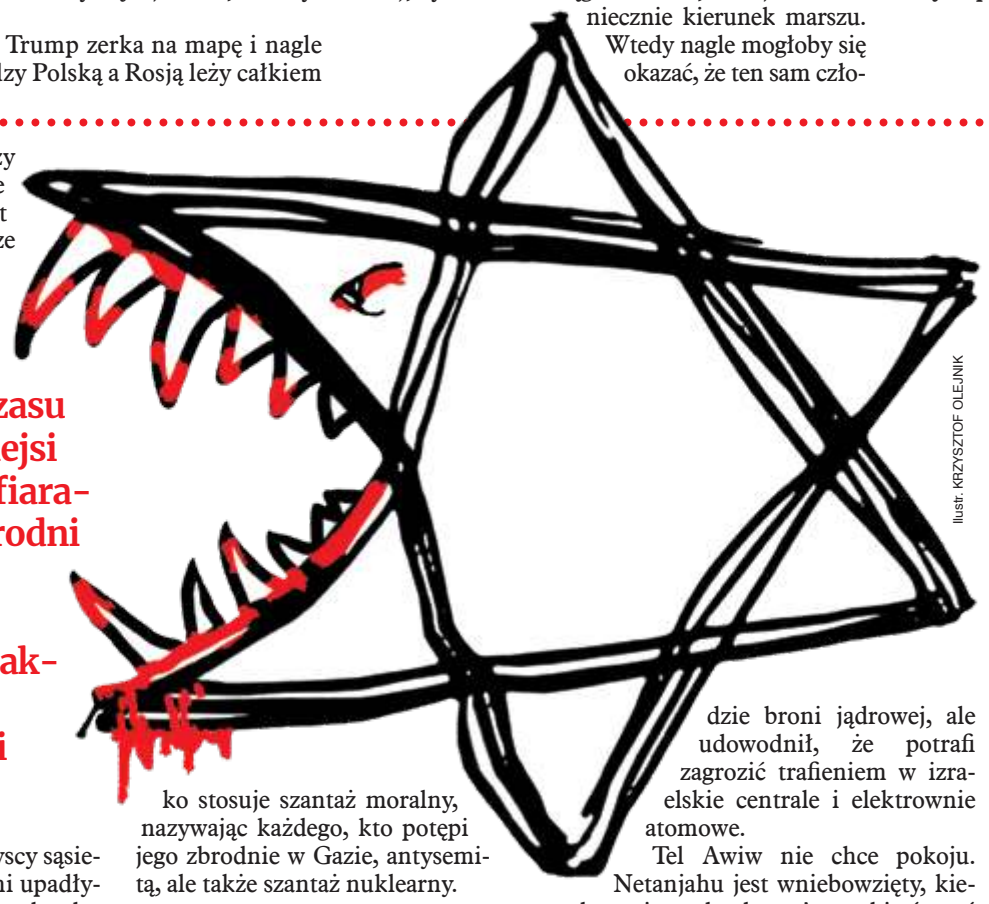
I tu wisi nad nami pytanie jak nienaoliwiona gilotyna: czy psychopatyczny Donald Trump chce podpalić świat? Nie wiem. Udawanie, że zna się myśli wariata, zostawiam jasnowidzom z Polsatu. Ale chętnie posłucham tych, co wiedzą na pewno. Scena wolna. Ktoś chętny?

ROBERT JARUGA
współpraca **JELENA S.**

90 mln mieszkańców może oznaczać uwikłanie się w konflikt wieloletni, w którym ceną będą duże straty. Gdy do kraju będą przywożone wielkie ilości zwłok poległych na polu bitwy, poparcie dla Trumpa i jego wojny drastycznie spadnie.

Izrael przekonał prezydenta USA, że już po pierwszych uderzeniach z powietrza ludzie wyjdą na ulice, nadchodzącą armię amerykańską powitają kwiatami. Jednak po rozwaleniu szkoły widok zwłok ponad 100 uczennic przekonał Irańczyków, że Amerykanie to nie przyjaciele. A w obliczu wroga naród stanie do walki z agresorem. Zamiast scenariusza wenezuelskiego może się okazać, że Iran stanie się kolejnym Wietnamem.

To, że opinia międzynarodowa czy choćby Unia Europejska nie potępia agresorów, to hańba i głupota. Hańba, bo Izrael i USA pogwałciły wszelkie normy prawa międzynarodowego, które nie dopuszczają wojny napastniczej. To, że się ma rakiety, nie uzasadnia ich użycia. Głupota, bo wojna ta doprowadzi do globalnego kryzysu gospodarczego, który uderzy między innymi w Europę. O tym, jak bardzo jest to szkodliwe, świadczy fakt, że USA zdjęły sankcje z irańskiej ropy. Choć jest oczywiste, że za pieniądze uzyskane ze sprzedaży ropy Iran kupi broń, której użyje w zapowiadanej kontrofensywie.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W miarę upływu czasu argument, że dzisiejsi zbrodniarze byli ofiarami największej zbrodni w dziejach, działa coraz słabiej. Nie można wiecznie traktować Holokaustu jako jakiejś licencji na zabijanie.

Dążenie do tego, żeby wszyscy sąsiedzi Izraela stali się państwami upadłymi. Tolerowanie ciągłych bombardowań państw arabskich jest możliwe tak długo, jak za rozbójniczym Izraelem będą stali Amerykanie. Izrael nie tylko stosuje szantaż moralny, nazywając każdego, kto potępi jego zbrodnie w Gazie, antysemitą, ale także szantaż nuklearny.

Iran, uderzając w okolicy izraelskiej centrali jądrowej, wykazał, że jest to broń obosieczna. Iran nie ma wprawdzie broni jądrowej, ale udowodnił, że potrafi zagrozić trafieniem w izraelskie centrale i elektrownie atomowe.

Tel Awiw nie chce pokoju. Netanjahu jest wniebowzięty, kiedy może pod osłoną Ameryki równać z ziemią arabskie i chrześcijańskie wioski i miasteczka w Libanie. Kiedy może zamieniać w pustynię wsie i miasta Iranu. Chodzi mu o to, by wszystkie kraje arabskie stały się krajami upadłymi, pozbawionymi armii i suwerenności. Iran wie, że prawdziwe zagrożenie idzie z Izraela, który nie niesie z sobą demokracji, tylko zagładę. Mordowanie ludności, matek, starców i dzieci, bardzo się obywatelom Izraela podoba. Bo chodzi właśnie o ludność. Palestyńczyków, Libańczyków, Irańczyków ma być jak najmniej.

Trump jest niezbyt rozgarniętym satrapą, który wierzy, że jeżeli może komukolwiek wytoczyć wojnę, to ma do tego prawo. Ten głupiec dał się Izraelowi wciągnąć w szkodliwą dla Ameryki i świata wojnę. Ale autorem intelektualnym tej wojny, tych zbrodni jest Izrael, jest Binjamin Netanjahu i jego fanatyczny religijnie rząd.

Tel Awiw nigdy się nie przyznał do posiadania broni nuklearnej, choć wszyscy wiedzą, że ją ma. Problem w tym, że tyle razy wybuchały wojny po to, by jakiś dyktator nie dostał w swoje ręce broni zdolnej zniszczyć cały świat, a nikt nie pomyślał, żeby zapobiec jej uzyskaniu przez Izrael. Żeby nie dać małpie brzytwy.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl cbc5cb04da

Parafie właśnie zamykają ostatnie listy dla dzieci chętnych, by ruszyć z księdzem w Polskę.

Wakacje z pasterzem



Rys. OBYWATEL JANEK

Z początkiem każdego roku w kościołach powtarza się rytualne kuszenie rodziców, żeby wysłali swoje pociechy na wakacje w towarzystwie księdza. Ogłoszenia pojawiają się w internecie i na tablicach przy kościołach. Mają zwykle podobną konstrukcję. Trochę słońca, trochę gór albo morza, termin, cena i informacja, że zapisy w kancelarii. Reszta pozostaje w rękach Opatrzności oraz rodzicielskiej wyobraźni.

Plaża i przy okazji Licheń

Parafia św. Jadwigi Królowej w Radomiu organizuje półtoratygodniowy obóz dla dzieci z klas I–VII na przełomie czerwca i lipca. Destynacja nazywa się Skorzęcin, Hotel Biały, nad Jeziorem Białym, w Wielkopolsce. Cena – 2400 zł. W reklamie parafia wymienia „atrakcje na miejscu”, plażowanie nad jeziorem oraz zestaw objazdowy, czyli wyprawy do Lichenia, Gniezna, Biskupina i Poznania. Znaczy dziecko ma dostać pakiet all inclusiv zawierający wodę, piasek, początki państwowości i maryjny monumentalizm.

Sam Hotel Biały wygląda już bardziej świecko niż samo ogłoszenie. Według opisu obiekt ma 150 miejsc noclegowych, pokoje 1-, 2-, 3- i 4-osobowe, część z balkonami z widokiem na jezioro, własną restaurację, salę bankietową, salę konferencyjną i prywatną plażę. Dzieci nie jadą więc do salki parafialnej z wersalką pamiętającą Gierka, tylko do obiektu, który umie udawać wypasiony hotel.

Rodzic ma wiedzieć, że jezioro jest, autokar też, a ksiądz Krzysztof czuwa. Ale już nie dowiaduje się z ogłoszenia, ile posiłków dziennie dostanie dziecko, ilu będzie opiekunów, jakie są zasady kontaktu, czy kąpielisko będzie strzeżone ani jak dokładnie wygląda nadzór. Zostaje mu pobożny domysł, że skoro to wyjazd parafialny, to może Opatrzność ma grafik dyżurów. W menu strony parafii wisi co prawda zakładka „Standardy”, lecz w samym ogłoszeniu nie ma o bezpieczeństwie ani jednego zdania. Ot, kościelna stylistyka troski: najpierw Licheń, a gdzieś potem może regulamin.

Wilczy Szaniec z litewskim akcentem

W Sumowie koło Sejn na Podlasiu prawie dwutygodniowe kolonie organizuje parafia Wniebowzięcia NMP w Sławnie razem z biurem podróży Vademecum. Koszt – 2500 zł. Reklamowy plakat jest barwny, słoneczny i radosny, a jego treść mówi, że w cenie są noclegi, wyżywienie, transport, bilety wstępu i ubezpieczenie, a wyjazd został zgłoszony do kuratorium. Ale za to w programie się skrzy. Wigry z klasztorem pokamedulskim, Gietrzwałd, Płociczno i kolej wąskotorowa, Wilno, Góra Cisowa, Hańcza, Stańczyki, Augustów z rejsem „szlakiem papieskim”, Sejny, Suwałki, Wilczy Szaniec i Święta Lipka. To już nie kolonia, tylko geograficzno-patriotyczno-maryjny maraton.

Problem zaczyna się tam, gdzie kończy się słoneczko na plakacie. Wiadomo, co dziecko zobaczy, za ile i że będzie ubezpieczone. Nie wiadomo natomiast, gdzie dokładnie będzie spało, ile osób trafi do pokoju, czy łazienki są w pokojach, czy w formule harcersko-sanitarnej, jaki jest standard wyżywienia i ilu dorosłych pilnuje tej objazdowej pielgrzymko-kolonii. Rodzic dostaje listę atrakcji dłuższą niż plan niejednego biura podróży, ale warunki pobytu są potraktowane jak sprawa drugorzędna. Tak jakby organizator zakładał, że po słowach „Wilno” czy „Święta Lipka” rodzic przestaje myśleć o prysznicu.

Co ciekawe, ta sama parafia ma osobną podstronę o ochronie dzieci i młodzieży i tam nagle język robi się konkretny aż do bólu. Pojawiają się zalecenia, by unikać przebywania z dorosłym w odizolowanych warunkach, nie podróżować prywatnymi samochodami bez zgody rodziców, nie przechodzić z dorosłym na „ty”, a przy wyjazdach zapisano, że rodzice mają znać zasady odbioru, komunikacji i mieć prawo kontaktu z dzieckiem lub opiekunem. Widać Kościół potrafi mówić jasno, gdy musi. Tylko w ofercie kolonii jakoś o tym nie pamięta.

Jaskinia, Praga i czajnik w pokoju

Druga sławieńska kolonia, również organizowana z tym samym biurem, ma być w sierpniu i kosztować te same 2500 zł. Tym razem w Szczytnej w Kotlinie Kłodzkiej, w Domu Wypoczynkowym Kamela. Program i tym razem nie zawodzi. Jaskinia Niedźwiedzia w Kletnie, Kopalnia Węgla w Nowej Rudzie, Praga, spływ pontonowy, zoo we Wrocławiu, Góry Stołowe, Muzeum Papiernictwa w Dusznikach-Zdroju, Trzebnica i basen w Kłodzku. Duchowość jest tu więc raczej dodatkiem do logistyki.

Ale o Kameli wiadomo najwięcej, bo sam obiekt opisuje się chętnie i z zapałem. Ośrodek deklaruje 80 miejsc noclegowych, pokoje 1-, 2-, 3- i 4-osobowe, każdy z prywatną łazienką, wi-fi, telewizorem i stolikiem kawowym. Jest i boisko do kosza, siatki oraz rzecz jasna – piłki nożnej. No i plac zabaw z huśtawkami, jak również zadaszony grill.

Parafialno-turystyczna uczciwość jest wręcz wzruszająca. Plakat podaje, że w cenie są noclegi, wyżywienie, transport, bilety i ubezpieczenie, a kolonia została zgłoszona do kuratorium. To już jest poziom luksusu informacyjnego.

Kolonie w cieniu formularza

Parafia św. Ojca Pio w Gdańsku zaprasza dzieci na przygodę w Zawoi. Tuż po ostatnim dzwonku. 10 dni wakacji, zanim dzieci zdążą się jeszcze przyzwyczaić do myśli, że szkoła naprawdę się skończyła. Cena za tę przyjemność wynosi 2500 zł.

Ogłoszenie parafialne jest wzorcowo lakoniczne. „Zapraszamy dzieci do udziału w letnich koloniach w tym roku w Zawoi w dniach 28 czerwca – 7 lipca 2026. Można zapisywać się przez formularz lub w zakrystii i biurze parafialnym”.

Zawoja, dla porządku, to największa wieś w Polsce, leżąca u podnóża Babiej Góry, która jest najwyższym szczytem Beskidów. Miejscowość żyje z turystyki, więc domów wczasowych, pensjonatów i ośrodków kolonijnych jest tam więcej niż sklepów z oscypkami w Zakopanem. W praktyce oznacza to, że dzieci najpewniej trafią do jednego z licznych ośrodków turystycznych – zwykle z pokojami wieloosobowymi, stołówką, boiskiem i obowiązkową wiatą do ognisk.

Ale w parafialnym ogłoszeniu nie pojawia się ani jedno zdanie o tym, gdzie dzieci będą spały, ile osób będzie w pokoju ani czy łazienka będzie znajdować się bliżej niż schronisko na Markowych Szczawinach. Wiadomo natomiast, że zapisać się można formularzem lub w kancelarii parafialnej. Formularz to znak czasów – Kościół może nie do końca lubi nowoczesność, ale wie, że Excel potrafi zebrać zaliczki szybciej niż kazanie.

Duchowość w okolicznościach połonin

Parafia w Luzinie w archidiecezji gdańskiej zaprasza młodzież na przełomie lipca i sierpnia na 10 dni w Bieszczady. Ogłoszenie jest równie zwięzłe jak poprzednie. „Serdecznie zapraszamy dzieci i młodzież na letni wyjazd w Bieszczady, który odbędzie się w dniach 30 lipca – 8 sierpnia 2026”. Nie ma ceny. Nie ma informacji o noclegu. Nie ma programu. Są za to Bieszczady, ale konkretnie gdzie?

Parafialne wyjazdy w ten region najczęściej odbywają się do ośrodków w miejscowościach takich jak Polańczyk, Wetlina, Cisna albo Ustrzyki Górne. Standard sprowadza się do zakwaterowania w pokojach 3–6 osobowych, wycieczek pieszych na Połoninę Wetlińską lub Caryńską, wyskoku nad Jezioro Solińskie i ogniska z gitarą i pieczeniem kiełbasy. Standardowy dzień na parafialnym wyjeździe zaczyna się od modlitwy porannej, kończy modlitwą wieczorną, a podczas 10-dniowego pobytu uczestnicy biorą udział w jednej lub dwóch niedzielnych mszach.

O tym aspekcie wspomina też Parafia św. Jana Kantego w Legionowie. W ogłoszeniu parafialnym stoi bowiem: „Kolonie odbędą się od 27 czerwca do 4 lipca 2026 w Międzybrodziu Żywieckim. Będzie to czas wypoczynku, integracji oraz wspólnej modlitwy”. O tym, gdzie dzieci będą spały, co jadły i co robiły – ani słowa. Tak jak o tym, kto będzie miał je na oku.

Gdy spojrzeć na wszystkie te oferty razem, widać pewien wspólny mianownik. Koszt kolonii parafialnych ok. 2500 zł. Rytm dnia jest podobny. Rano pacierz. Wieczorem modlitwa. W niedzielę msza.

Podczas tygodniowego wyjazdu dzieci modlą się więc około 14 razy, a podczas 10-dniowego – ok. 20. I to nie licząc mszy.

Między jedną modlitwą a drugą jest natomiast wszystko to, co kojarzy się z wakacjami: góry, jeziora, morze, ogniska, wycieczki i wspólne zabawy.

Kolejną wspólną cechą wakacyjnych wyjazdów parafialnych jest i to, że rodzic dowiaduje się, ile kosztuje wyjazd i gdzie się zapisać, a nawet ile będzie wycieczek. Z reguły nie ma jednak pojęcia, jakie są procedury ochrony dzieci. A to jest istotne, bo choć w większości przypadków parafiom chodzi o pieniądze, czyli prowizje od rzeczywistego organizatora obozu czy kolonii, to jednak niebagatelne znaczenie ma dla księży i to, że jadą z dzieciakami jako opiekunowie. I nie dość, że wypoczywają za darmochę, a czasem nawet za kasę należną opiekunom, to mają to, co wielu klechów lubi najbardziej. Całodobowy dostęp do swoich małych owieczek.

TOMASZ BOROWIECKI

Zarabiać po bożemu

Nowa inicjatywa Watykanu

Katolików jest obecnie już 1,4 mld. To masa ludzi. Niektórzy z nich mają sporo kasy. Rodzi się pytanie: czy chcą oni pomnażać swój majątek tak samo jak wyznawcy błędnych religii czy, Boże uchowaj, ateiści – czy jednak w swych wyborach ekonomicznych kierują się wytycznymi papieży, którzy w sprawach wiary są nieomylni. Oczywiście najlepsze jest to, że to sami papieże decydują, co przynależy do sfery wiary.

Jako iż obecnie na czele katolicyzmu stoi Amerykanin – a nacja ta sławi profit ponad wszystko – Watykan właśnie stworzył, we współpracy z korporacją Morningstar, dwa „pobożne” indeksy akcji: Morningstar IOR Eurozone Catholic Principles i Morningstar IOR US Catholic Principles.

Wreszcie katolik, który ma wyjebane na słowa Jezusa, że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogaty wkroczy do Królestwa Niebieskiego, może zarabiać w zgodzie z katolickimi wartościami (czymkolwiek by one były).

Odpowiedzialnym za tę inicjatywę jest znany przez lata z afer, defraudacji funduszy i wręcz działań na wpół mafijnych Bank Watykański – zwany oficjalnie Instytutem Dzieł Religijnych (Istituto per le Opere di Religione, IOR). Jak wyjaśnił w oświadczeniu, idzie o politykę inwestycyjną zgodną z katolicką doktryną społeczną i katolickimi zasadami etycznymi. Jak mawiają Rosjanie, idzie zatem o to, aby i kapitał zebrać, i cnotę zachować.

Giovanni Boscia z IOR podkreślił, że to kolejny krok banku w procesie przyjmowania najlepszych międzynarodowych praktyk finansowych, ściśle zgodnych zarazem z zasadami społecznej nauki Kościoła.

Dyrektor w Morningstar Indexes Robert Edwards skomentował: „Inwestorzy coraz częściej poszukują punktów odniesienia, które odzwierciedlają określone kryteria oparte na wartościach lub politykach”. Zapewnił, iż przejrzyste, oparte na zasadach podejście jego firmy zapewnia, że standardy określone przez klientów są stosowane konsekwentnie i obiektywnie.

Każdy z indeksów grupuje 50 dużych i średnich spółek, włącznie z potężnymi instytucjami finansowymi i gigantami z sektora nowych technologii. Watykan zapewnia, że wybrane spółki przeszły ostrą selekcję pod względem zgodności interesów z etyką katolicką i regułami społecznej odpowiedzialności biznesu.

Co ciekawe, selekcję Watykanu przeszła Meta – właściciel Facebooka i Instragrama – choć katoliccy duchowni nieraz krytykowali ich algorytmy za szerzenie nienawiści, kreowanie i wzmacnianie podziałów społecznych. „Katolicka nauka społeczna podkreśla prymat osoby nad kapitałem, a tymczasem eksploatacja prywatności użytkowników Facebooka w imię zysków reklamowych jest często punktowana jako problematyczna etycznie – i to nie tylko przez duchownych, ale i przez świeckich etyków” – komentuje dziennikarz ekonomiczny Maciej Samcik.

Trzepanie kapuchy po katolicku to zresztą niezły biznes – kościelny indeks amerykański wypada dużo lepiej niż generalny indeks Morningstar dla dużych i średnich spółek.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

W ostatnim dziesięcioleciu dawałby on średnio zysk aż 16 proc. rocznie, wobec marnego świeckiego 10,7 proc.

Prof. Daniel Roccato z katolickiego Uniwersytetu San Diego (USD) w stanie Kalifornia podkreśla, że Watykan stworzył na razie indeks – a nie fundusz, w który można inwestować. Nie można wykluczyć jednak, że tak stanie się w przyszłości, gdyż, wedle Roccato, oczekują tego najmłodsi inwestorzy: „pokolenie Z z pewnością jest gotowe zrezygnować z części zysku, jeśli oznacza to, że inwestycja jest zgodna z jego wartościami”

Michael Lovette-Colyer z USD zwraca z kolei uwagę na fakt, że nie wszystkim muszą się podobać firmy, które wybrał Watykan – choćby takie jak lider aut elektrycznych Tesla, na której wizerunek wpływają powiązania Elona Muska z administracją Trumpa.

Ciekawe, czy polscy biskupi zainwestowaliby własne pieniądze zgodnie z katolickimi wartościami? O przepraszam, oczywiście: biskupi żyją w ubóstwie, a te wszystkie rezydencje, drogie samochody i luksusy, w jakie opływają, nie są ich prywatną własnością… Ale jednak.

Jak na razie polski kler – w wielu miejscach na świecie jest podobnie, ale swoja koszula bliższa ciału – sprzedaje całe osiedla z mieszkańcami chciwym deweloperom, wyrzuca dzieci z przejętych przez siebie szkół i wysysa pieniądze od najuboższych warstw społeczeństwa.

A patrząc bardziej ogólnie, Kościół katolicki stworzył najlepszy biznes na tym padole: za odpowiednią opłatę sprzedaje zbawienie po śmierci – wyłączając zatem okazjonalne nawiedzenia nie musi obawiać się reklamacji niezadowolonych klientów. Czy jednak nie powinien zająć się nim UOKiK – mamy wszak do czynienia z aktem nieuczciwej konkurencji i wprowadzaniem konsumentów w błąd…

ZUZ

eprasa.pl cbc5cb04da

Ups Dei

Papież czyta książki zakazane

Dostojnicy kościelni zazwyczaj publicznie ignorują publikacje demaskujące ich bezeceństwa, choć w ukryciu czytają je z wypiekami na twarzy. Dużo szczęścia miał zatem brytyjski dziennikarz Gareth Gore – w promocję jego książki włączył się sam Leon XIV.

Jest to dziełko, delikatnie mówiąc, niezbyt przychylne Kościołowi. „Opus: The Cult of Dark Money, Human Trafficking, and Right-Wing Conspiracy", ukazujące się właśnie w Polsce jako „Opus Dei. Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna" po raz kolejny opowiada o instytucji zwanej kościelną masonerią, przedstawiając ją już w tytule tak, że więcej nie trzeba. Za tego typu promocję wydawnictwa zapłaciłyby krocie. A może Watykan jest już w takiej potrzebie, że przyjmuje najróżniejsze propozycje? Przecież gangsterzy lubią książki o sobie i napawają się popularnością, zarabiając przy tym – już legalnie. Czasem nawet na potrzeby książek czy filmów dopowiadają różne historie, by wydawać się jeszcze groźniejszymi i ciekawszymi. Kler do tej pory słynął z dyskrecji, skrzętnie pilnując sekretów firmy. Ale skoro świat staje na głowie, to czemu nie Kościół?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W każdym razie Gareth Gore został zaproszony na prywatną audiencję do papieża. Rozmawiali przez 40 minut – nie było to tylko kurtuazyjne uściśnięcie dłoni i wspólna fotka, które na potrzeby zwielokrotnienia sprzedaży by wystarczyły. Władca Watykanu jest widocznie żywo zainteresowany tym, co Gore ustalił. Autor jest dziennikarzem finansowym, dzięki czemu te wątki działalności Opus Dei ma szczególnie obcykane. Jako specjalista od pieniędzy prześledził, kto, co, jak i ile. Personalia, kwoty i kanały przepływu budzą w Rzymie szczególne zainteresowanie. W książce Gore'a centrala dostała solidny raport bez potrzeby uruchamiania własnych śledczych i tracenia zasobów na takie ustalenia.

Opus Dei opisano już wzdłuż i wszerz. Popkulturowe oblicze nadał jej Dan Brown w „Kodzie Leonarda da Vinci". W tej powieści Dzieło Boże jest pokazane jako tajemnicza, wpływowa i niebezpieczna organizacja katolicka uwikłana w spisek wokół Świętego Graala. Podobnie jak w przypadku masonerii masowego odbiorcę podnieca to, co metafizyczne i ezoteryczne. Dobrze to wygląda w książkach i filmach, ale rzeczywistość jest pozbawiona magii. Chyba że za magiczne uznamy sztuczki Opus Dei pozwalające na gromadzenie ogromnych pieniędzy i zdobywanie wpływów.

Opus Dei przestudiowane zostało także dokumentalnie. Poczesne miejsce zajmują tu świadectwa byłych członków, którzy – jak to byli członkowie każdej organizacji – nie wypowiadają się o niej zbyt ciepło. Z perspektywy widzą wszechobecną psychomanipulację, mobbing, przemoc i ogólną chujnię, która wcześniej wydawała się złapaniem Pana Boga za nogi. Opowieści te bywają barwne, z tym że nieraz naciągane, by podnieść atrakcyjność, no i przede wszystkim subiektywne. Ludzie kłamią, wyciągi z kont bankowych – nie.

Nie każdego dnia autor książki poświęconej przestępczej działalności ludzi Kościoła staje przed obliczem Jego Świątobliwości, by w serdecznej rozmowie usłyszeć, że wykonał „rzetelną robotę". Pomarzyć mógł o tym choćby Frédéric Martel, autor głośnej „Sodomy", która również odbiła się światowym echem, a powstała na kanwie rozmów z dostojnikami kościelnymi. Po wydaniu książki hierarchowie nabrali wody święconej w usta i odżegnywali się od jakichkolwiek kontaktów z autorem bestsellera, choć niedawno gościli go na swoich salonach – Dziwisza nie wyłączając.

Gareth Gore przybył do Watykanu 16 marca, a całość opisał na swoim blogu. Papiescy spece wiedzą, jak człowieka ustawić przed spotkaniem z Człowiekiem Numer Jeden. Opowiadał o tym choćby Leszek Miller: ogromne przestrzenie pełne dzieł sztuki zapierają dech w piersiach. Człowiek skołowany tym przepychem rozmawia z papieżem i podświadomie łatwiej godzi się na wszystko, przytłoczony majestatem Kościoła. Podobnie pisze Gore: najpierw przemarsz przez kilka pomieszczeń z dziełami sztuki; pierwsza poczekalnia, druga, w której zostawił telefon, i dopiero prywatna papieska biblioteka, a w niej sam papież. Trochę jak metody zmiękczania przed przesłuchaniem.

Samo spotkanie przebiegało w – a jakże – przemiłej atmosferze. Papież słuchał z uwagą i troską, a sam Gore nie wyczytał z twarzy Prevosta, czy kieruje się on dobrem skrzywdzonych, czy jednak instytucji. Przypomina, że papież wcześniej dwukrotnie spotykał się z przywódcami Opus Dei i może po prostu chce mieć szerszy ogląd albo wyczuć, ile wie wróg. Brytyjski dziennikarz opowiedział papieżowi to, co wcześniej napisał: jak opusdeiści, posługując się autorytetem Kościoła, wabią narybek, a potem uzależniają od organizacji i manipulują swoimi członkami. Wykorzystują przy tym tzw. kierownictwo duchowe i łamią tajemnicę spowiedzi.

Arsenał zarzutów moralnych, religijnych i finansowych został poparty stosem dokumentów przekazanych szefowi Kościoła do rąk własnych. Przynajmniej taka z tego korzyść – twierdzi – że gdy szambo wybije na dobre, papież nie będzie mógł się wyłgać sakramentalnym „nie wiedziałem".

Gore wspomina, że obiekcje wobec Opus Dei wyrażał już papież Franciszek. Rzeczywiście, Bergoglio pozbawił ich statusu „prałatury personalnej", czyli kościelnego państwa w państwie: wierni należący do Dzieła nie podlegali lokalnemu biskupowi, tylko zwierzchnikowi organizacji. Nakazał wdrażać reformy, ale niewiele się zmieniło. Brytyjczyk uważa, że Leon XIV powinien się spotkać z ofiarami, powołać komisję, a najlepiej zamknąć to cholerstwo w pizdu i „odświęcić" założyciela Opus Dei Josemaríę Escrivę de Balaguera, który ten sekciarsko-mafijny system zaprojektował, wdrożył i zostawił swoim następcom.

Żeby nie było stronniczo: Opus Dei wydało oświadczenie, w którym demaskuje Garetha Gore'a jako człowieka podstępnego, który nadużył zaufania członków organizacji, cześć poprzekręcał, trochę nadinterpretował, resztę pozmyślał. A my kierujemy się zasadą, żeby wierzyć tylko w zdementowane informacje.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Episkopat gasi Brauna

Biskupi przy chanukowych świecach

Listy Konferencji Episkopatu Polski zazwyczaj przechodzą bez echa. Są długie, nudne i naszpikowane cytatami z JP2. Dotyczą spraw nieistotnych, a jeśli istotnych, to ujętych tak, że odechciewa się tego czytać po pierwszym akapicie. Nawet dla księży i oddanych katolików stanowią obiekt drwin i są czytane z równym entuzjazmem co ulotki leków.

Biskupom w końcu udała się jednak trudna sztuka przyciągnięcia uwagi opinii publicznej i wywołania zamieszania. Miało być jak zawsze: list zostanie odczytany z ambon i jeszcze przed wyjściem z kościoła zapomniany przez wszystkich, a zrobiła się awantura na skalę ogólnopolską i każdy szanujący się komentator życia publicznego uznał za stosowne odnieść się do sprawy. Wszystko jak zwykle przez Żydów.

Sam tytuł to płachta na kilka byków: „List Konferencji Episkopatu Polski z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej Synagodze Większej". List ten przygotowano do odczytania na niedzielę 22 marca, ale zawisł na stronie kilku diecezji już wcześniej. I szybko go usunięto, po tym jak – w kręgach prawicowych – zaczęto maglować treść niezgodną rzekomo z odwiecznym nauczaniem Kościoła kat. i ośmieszającą polskich hierarchów. Rozpoczął się kolportaż potajemny: tu i ówdzie fruwały fragmenty, tak że nie wiadomo już było, które są prawdziwe. Księża dostali prikaz, żeby do niedzieli trzymać pismo w tajemnicy, coby nie wywoływać niezdrowych emocji.

Ponieważ list nie był obowiązkowy do odczytania, większość wiernych nie usłyszała go podczas niedzielnej mszy. Ale usłyszeli o nim w radiu i telewizji, przeczytali w internecie.

Za szczególnie kontrowersyjne uznano takie herezje jak to, że Żydzi mogą być zbawieni bez przyjęcia wiary w Chrystusa oraz że antysemityzm to grzech.

Biskupi poszli tym razem na całość, wkurwiając nie tylko prawicę. Liberalni katolicy oraz lewica oburzyli się z kolei, że taki prożydowski elaborat w czasie trwania wojny z Iranem, którą inspirował Izrael, oraz generalnie kiedy Netanjahu odpierdala to, co odpierdala, to gruby nietakt i można to odebrać niemalże jako popieranie ludobójstwa. Tak więc hierarchowie rozsierdzili wszystkich, a to jednak sztuka. Szanujemy, nie każdemu się to udaje. Po latach nieudanych prób zanudzenia wszystkich na śmierć, panowie biskupi pobudzili wszystkich tak, że tuzy medialne patrzą z zazdrością.

Co zaś do samego listu, najbardziej przypadł nam do gustu komentarz Pawła Lisickiego, red. naczelnego „Do Rzeczy". – Zdaniem autorów tego listu, przez 1500 lat Kościół się mylił. Mylili się papieże, doktorzy, święci, nauczyciele, wszyscy się mylili. Wszyscy kształtowali błędne postawy, wszyscy nauczali błędów, wszyscy nauczali nienawiści, wszyscy nauczali antysemityzmu. Gdybym ja chciał być na miejscu autorów tego listu i tak uważał, jak oni uważają, że przez półtora tysiąca lat Kościół tkwił w błędzie, to nie mógłbym uczciwie uważać siebie za katolika – stwierdził w komentarzu dla PCh24.pl. Czego im wszystkim życzymy.

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Zespół Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych wyraził poważne zastrzeżenia wobec poselskiego projektu nowelizacji ustaw o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych oraz refundacji leków, oceniając go jako szkodliwy i nieetyczny. Wszystko za sprawą zapisu o bezpłatnym dostępie do środków antykoncepcyjnych. Zespół wskazał, że preparaty hormonalne o działaniu antykoncepcyjnym należą do substancji o szerokim spektrum działania, które może wiązać się z ryzykiem poważnych skutków ubocznych. Według klechów promocja antykoncepcji może m.in. utrwalać postawy sprzyjające odkładaniu rodzicielstwa oraz pogłębiać kryzys demograficzny. Przypominamy księżom, że choć w ciążę nie zachodzą, to z gumką zawsze bezpieczniej.

✚ Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji planuje współpracę z Kościołem w zakresie bezpieczeństwa lokalnego. Propozycje obejmują organizowanie doraźnej pomocy materialnej oraz wykorzystanie infrastruktury parafialnej jako centrów dystrybucji wsparcia lub schronienia w przypadku klęsk żywiołowych. Rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ks. Leszek Gęsiak zapewnił, że Kościół będzie wspierał ludność w sytuacjach kryzysowych, wykorzystując swoją bazę, zaplecze techniczne oraz kontakty międzynarodowe w działaniach związanych z pomocą humanitarną. Podpowiadamy ministerstwu, że np. sklepów z płazem w nazwie jest w kraju znacznie więcej niż kościołów. Są lepiej zaopatrzone, a i personel jakby bardziej przyjemny.

✚ Dwa zespoły biegłych psychologów seksuologów ocenią stan zdrowia psychicznego proboszcza jednej z parafii w powiecie słupskim księdza Waldemara P. W tym celu zostało przedłużone tymczasowe aresztowanie 57-letniego kapłana. W listopadzie 2025 r. ksiądz w Prokuraturze Rejonowej w Starogardzie Gdańskim usłyszał zarzuty popełnienia szeregu przestępstw przeciwko wolności seksualnej wobec co najmniej czterech chłopców w wieku poniżej 18 lat. Śledczy w toku czynności zabezpieczyli 20 tys. stron wiadomości o charakterze seksualnym wysyłanych z telefonu przez klechę do chłopców i mężczyzn. Z informacji Prokuratury Okręgowej w Gdańsku wynika, że dotychczas przesłuchano 18 osób, a 11 wytypowano jako potencjalnych pokrzywdzonych. Analiza zgromadzonego materiału nadal trwa, zatem liczba ofiar może wzrosnąć. Zarzucane klesze przestępstwa zagrożone są karą od trzech miesięcy do pięciu lat pierdla.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

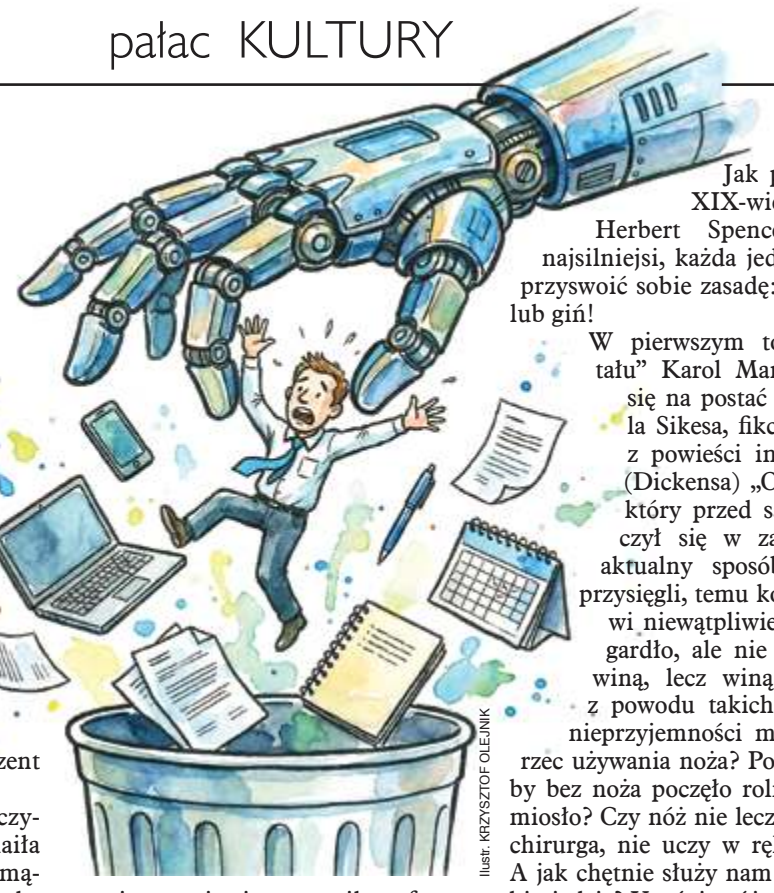
✚ Należąca do Instytutu im. Piotra Skargi Fundacja „Polska Katolicka, nie laicka" zachęca do podpisywania petycji przeciwko organizacji metalowego festiwalu muzycznego Mystic Festival w Gdańsku. Impreza odbywa jest w Polsce od końca lat 90., cieszy się sporą popularnością i została wyróżniona m.in. w konkursie European Festival Awards. Według katolickich smutasów wydarzenie ma antychrześcijański i bluźnierczy charakter. Jakby mało było nieszczęść – jak można przeczytać w petycji – „zostało ono zaplanowane w czasie Uroczystości Bożego Ciała, gdy miliony wiernych w Polsce publicznie oddają cześć Panu Jezusowi w Najświętszym Sakramencie na procesjach eucharystycznych". Wszechmogący Bóg bez trudu zatrzymałby takie wydarzenie – gdyby oczywiście istniał.

KLECHA

eprasa.pl cbc5cb04da

Mordercza konkurencja o pracę

Wokół filmu „Bez wyjścia”



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pamiętam rysunek Andrzeja Milewskiego („Andrzej Rysuje”), na którym uśmiechnięty robot z napisem AI wznosi kieliszek z szampanem, mówiąc: „W Nowym Roku życzę jak najmniej zawodów”. Nie wykluczam, że ta satyra trafiła do południowokoreańskiego reżysera Parka Chan-wooka, którego film „Bez wyjścia” można obejrzeć w kinach. Jest to uwspółcześniona adaptacja powieści Donalda E. Westlake’a, po którą dwie dekady wcześniej sięgnął Costa-Gavras, reżyserując film „Ostre cięcia”.

„Bez wyjścia” to gorzka satyra na robotyzację i masowe wdrażanie sztucznej inteligencji, lotem koszącym masakrujące miejsca pracy nie tylko robotników (oni już od prawie dwóch stuleci muszą podporządkowywać się maszynom i reżimowi fabrycznej racjonalizacji), ale również menedżerów, którzy latami wspinali się po szczeblach korporacyjnej drabiny.

Pracowity szczęściarz

Takim menedżerem z branży papierniczej jest Man-su, żyjący jak Pan Bóg klasie średniej przykazał. Cieszy się wszystkim, co dobry los zsyła pracowitym szczęściarzom: piękną i niepracującą żoną, dwójką dzieci i parą słodkich golden retrieverów, że o domku z ogrodem (a nawet małą szklarnią), prywatnych lekcjach tańca i grze w tenisa nie wspomnę. Stać go na życie godne i wygodne; w pierwszej scenie smaży dla rodzinki węgorza, nie zdając sobie sprawy, że nie jest to dodatkowy bonus od przełożonych, lecz prezent pożegnalny.

Zdaje się, że Man-su powinien czytać „Mistrza i Małgorzatę” Michaiła Bułhakowa, wtedy by zaczerpnął mądrość życiową od Szatana-Wolanda, który stwierdził, że lubi siedzieć nisko, gdyż wtedy upadek mniej boli. A męska duma byłego menedżera boleśnie ucierpiała, gdy żona poszła do pracy na pół etatu jako higienistka dentystyczna.

Gdy mijały kolejne miesiące Man-su na bezrobociu, to kobieta przejęła stery. Zdecydowała, że rodzina rezygnuje ze wszystkiego, co nie jest niezbędne – syna najbardziej zabolała rezygnacja z Netflixa. Jedynie lekcje gry na wiolonczeli, pobierane przed mocno zamkniętą w sobie, acz niezwykle utalentowaną córkę pary, uciekły spod topora cięć.

Komicznie groteskowa była sytuacja, gdy kobieta powiedziała, że w obliczu kryzysu ekonomicznego nie stać ich na utrzymywanie wszystkich członków rodziny: przez chwilę widzowie zastanawiali się, czy nie oddadzą dzieci do przytułku, oddychając z ulgą, gdy okazało się, że trzeba – przynajmniej tymczasowo – wyekspediować psiaki do teściów Man-su.

Niewinni zbrodniarze

Park Chan-wook podchodzi do głównego bohatera swojej opowieści niczym entomolog do obserwowanego przez mikroskop owada. Pokazuje powolne, pełne wahań i nieporadności, przeistaczanie się go z miłego faceta, któremu się w życiu powiodło, do desperata planującego z zimną krwią zamordowanie swoich konkurentów w zmaganiach o wymarzony etat.

Dziwnie mi się to kojarzy z rysunkiem Andrzeja Mleczki, na którym facet daje gościom po siekierze, kwitując to słowami: „Ten, który zabije drugiego, zostanie nowym kierownikiem”. Ze świata meteorologów wywodzi się powiedzenie, że jesteśmy ładni przy ładnej pogodzie. Kiedy Man-su bezskutecznie stara się o ponowne zatrudnienie – odzierając się z godności ludzkiej, jak w scenie, w której dosłownie klęczy przed bossem wychodzącym z toalety, żebrząc o odrobinę uwagi – widzimy jego upadek w obliczu sił globalnego kapitalizmu i, jak by powiedział ekonomista Joseph A. Schumpeter, nieodrodnej dla niego twórczej destrukcji będącej podstawowym sposobem zdobywania przewagi konkurencyjnej.

„Bez wyjścia” to wiwisekcja kapitalizmu w pełnej krasie, kapitalizmu, który nie jest już ograniczany w swych najbardziej okrutnych aspektach (przynajmniej w krajach wysoko rozwiniętych) przez blok komunistyczny. Systemu, dla którego podobno nie ma alternatywy, a z jego regułami – nieważne jak brutalnymi – nie dyskutuje się, gdyż nie sposób ich zmienić.

Jak powiedziałby XIX-wieczny liberał Herbert Spencer, przeżyją najsilniejsi, każda jednostka musi przyswoić sobie zasadę: dostosuj się lub giń!

W pierwszym tomie „Kapitału” Karol Marks powołuje się na postać bandyty Billa Sikesa, fikcyjnej postaci z powieści innego Karola (Dickensa) „Oliver Twist”, który przed sądem tłumaczył się w zastanawiająco aktualny sposób: „Panowie przysięgli, temu komiwojażerowi niewątpliwie poderżnięto gardło, ale nie jest to moją winą, lecz winą noża. Czyż z powodu takich przelotnych nieprzyjemności mamy się wyrzec używania noża? Pomyślcie! Cóż by bez noża poczęło rolnictwo i rzemiosło? Czy nóż nie leczy nas w ręku chirurga, nie uczy w ręku anatoma? A jak chętnie służy nam przy wesołej biesiadzie? Usuńcie nóż, a zepchniecie nas w najgłębsze barbarzyństwo”.

Wszyscy zwalniający pracowników są niczym rzezimieszek Sikes: nie ma w tym naszej winy, to technologia, sztuczna inteligencja, automatyzacja, racjonalizacja produkcji, presja kosztowa. Z nimi przecież się nie dyskutuje, są równoważne z wyrokami boskimi.

Starożytni powiedzieliby, że odpowiada za to przewrotna bogini Fortuna. Można też w tej roli obsadzić ducha dziejów, nowoczesność, elastyczność czy co kto tam sobie zażyczy.

Wyjście awaryjne

Czy można sądzić, że jesteśmy o krok od nowego powstania antytechnologicznego niczym zwolennicy Neda Ludda buntujący się przeciw maszynom ponad 200 lat temu? A warto przypomnieć, że na mocy ustawy brytyjskiego parlamentu z 1812 r. za niszczenie maszyn groziła kara śmierci. Lord Byron napisał skądinąd „Pieśń o luddystach”, w której opiewał walkę niszczycieli maszyn o wolność. Sprawa jest koniec końców dość prosta, choć uwikłana w gęstą sieć ideologii i gabinetu luster, w którym łatwo się pogubić.

Po pierwsze, nie ma nic wewnętrznie złego w postępie technologicznym. Oczywiście jeśli nie oznacza to – a tu jest sugestywna jedna z ostatnich scen „Bez wyjścia”, w której maszyny niszczą drzewa – destrukcji środowiska naturalnego i zatruwania atmosfery.

Po drugie, na temat pałki inaczej filozofuje ten, kto ją dzierży w dłoniach, a inaczej ten, kto jest nią okładany po głowie. Korpogiganci kochają AI i roboty, bo one mogą – w odróżnieniu od ludzi – pracować 24 godziny na dobę i siedem dni w tygodniu, nie mają prawa do urlopu, zrzeszania się w związki zawodowe, nie biorą zwolnień lekarskich, nie narzekają na tempo pracy i nigdy nie strajkują. Kiedy się psują, to się je naprawia, a częściej wyrzuca i zastępuje nowszymi modelami, a że nie mają praw wyborczych, nikt nie będzie naciskał na korporacje (choć to częściej raczej smarowanie im dupy miodem w postaci ulg podatkowych i dofinansowań, a nie żadne naciski), by nie zwalniały ludzi.

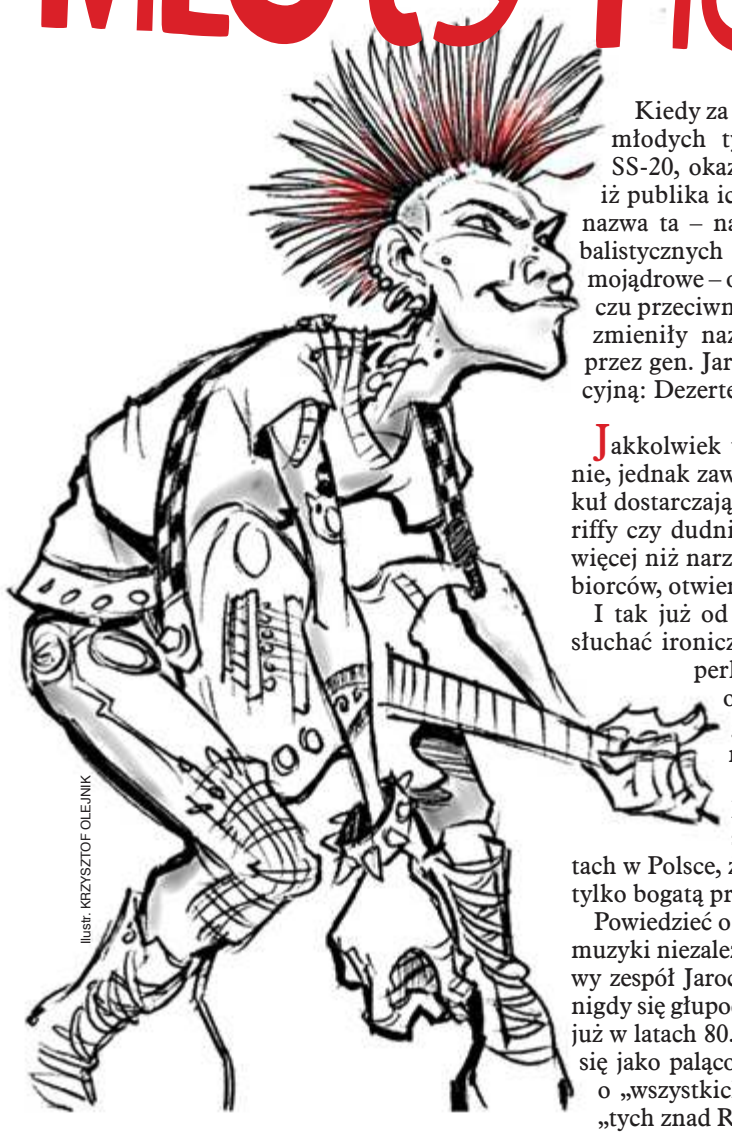
Po trzecie, sposobowi używania technologii – a pamiętajmy, że potężne globalne big techy od lat już zwalniają pod pretekstem wdrażania AI, a kolejne zapowiedziały uczynić to w najbliższym czasie – w kapitalizmie musi służyć odpowiednio skrojona ideologia, czyli fałszywa świadomość. Inwestorzy z radością witają kolejne fale zwolnień w korporacjach, które wręcz srają kasą i przynoszą niebotyczne zyski: to gwarancja, że zyski będą w przyszłości jeszcze większe.

Park Chan-wook pokazuje, że jako społeczeństwo mamy dwa wyjścia. Zaprząc technologie w służbę społeczeństwa (wariant obecnie mało realistyczny) bądź też metaforycznie lub dosłownie mordować – jak Man-su – konkurujących o coraz mniejszą pulę stanowisk pracy. Trzeciej drogi nie ma…

ZUZ

Trzecia młodość punkowego Dezertera

Młoty na idiotyzm



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy za słusznie minionego systemu paru młodych typów założyło punkowy zespół SS-20, okazało się, że nie mogą grać, mimo iż publika ich kocha. Cenzura sugerowała, że nazwa ta – nawiązująca do radzieckich rakiet balistycznych zdolnych przenosić ładunki termojądrowe – oznacza esesmanów XX w. W obliczu przeciwności chłopaki w stanie wojennym zmieniły nazwę, lecz – w kraju rządzonym przez gen. Jaruzelskiego – na równie prowokacyjną: Dezerter.

Jakkolwiek ten zespół rozwijał się artystycznie, jednak zawsze muzykę traktował jako wehikuł dostarczający odpowiedni przekaz. Gitarowe riffy czy dudniąca sekcja rytmiczna to niewiele więcej niż narzędzia docierania do umysłów odbiorców, otwierania ich świadomości.

I tak już od 1981 r. kolejne pokolenia mogą słuchać ironicznych, często dosadnych tekstów perkusisty Krzysztofa Grabowskiego od równo 40 lat śpiewanych przez gitarzystę Roberta „Robala” Materę. Dodam, zobaczywszy ostatnio całkiem sporą grupę młodych ludzi – nastolatków i nieco starszych – na punkowych koncertach w Polsce, że hasło „punks not dead” ma nie tylko bogatą przeszłość, ale i pewną przyszłość.

Powiedzieć o Dezerterze, że to legenda polskiej muzyki niezależnej, to nic nie powiedzieć. Kultowy zespół Jarocina sprzed ponad czterech dekad nigdy się głupocie i systemowi opresji nie kłaniał, już w latach 80. piętnując – co znów obecnie jawi się jako paląco aktualne – militaryzm, krzycząc o „wszystkich kurwach”, które „mają czołgi”, „tych znad Renu, tych znad Wołgi”.

Kiedy komuna wyzionęła ducha, w odróżnieniu od wielu kolegów z alternatywnego światka, nigdy nie patrzyli wstecz, nie stali się antykomunistycznymi kombatantami, konserwatystami, lecz zmagali się z nowym wrogiem w postaci kapitalizmu, niszczenia środowiska naturalnego i bezmyślnego konsumpcjonizmu.

Pamiętam, jak w latach 90. na Polsacie – obok nieśmiertelnych przebojów disco polo w niedzielne poranki – można było zobaczyć szokujący teledysk Dezertera „Pierwszy raz”. Nie jest to bynajmniej bajeczka o inicjacji seksualnej, lecz opowieść człowieka, który przeżywa pierwsze zabicie zwierzęcia w rzeźni. Zabawne, ale wiele osób, które miały wówczas kilkanaście lat, pamięta ten nagrywany w rzeźni wideoklip; mnie on skądinąd skłonił – ponad 30 lat temu – do wegetarianizmu…

Ale dość partyzanckich nostalgicznych wspominek – najnowsza płyta Dezertera, „Wolny wybieg” to wyborna i ze swadą opowiedziana historia współczesnej Polski i świata rządzonych przez korporacje, które nas osaczają tak skutecznie, że nawet tego już nie dostrzegamy, niczym ryby pływające w wodzie, które nie zdają sobie sprawy, że jest ona mokra.

Zacytuję tu dłuższy fragment kawałka, który dał tytuł płycie:

„Nie musisz się już martwić.
Wygoda to zdobycz największa.
Dostaniesz to, na co czekasz,
Żebyś tylko nie przestał klikać.
Korporacje wiedzą, jak spełnić
Rolę twojej cyfrowej niańki
Znają najbardziej skryte sekrety.
Nie wypuszczą cię z twojej bańki”.

Jeżeli grunt to bunt, to żyjemy w czasach, w których mamy się przeciwko czemu buntować. Być może – a w obliczu tego, co się dzieje na Bliskim Wschodzie jest to zapewne jeszcze aktualniejsze – wielu z nas może sobie nucić za Dezerterem, że jeśli spojrzymy dookoła, zobaczymy, że „wszystko się rozpada”, a zatem „lepsze jutro było wczoraj”. Od siebie jednak dodam, że wczoraj dla wielu ludzi, w Polsce i na świecie, też nie było jakoś szczególnie radosne, nawet gdy takim jawi się na tle dzisiejszej chujni.

Tradycyjnie na płycie obrywa się ziejącym nienawiścią – nienawidzących bliźniego swego jak siebie samego, poświęcony im jest numer „Jad”, którego refren wybrzmiewa słowami: „Zwęszyć spisek, wyczuć zdradę, / Zwietrzyć podstęp, opluć jadem”.

Grabowski to chyba najbardziej wpływowy orędownik tzw. ekologii głębokiej w Polsce,

kwestie ochrony przyrody i praw zwierząt to stale obecne wątki w jego twórczości. W jego optyce największym przekleństwem ludzkości jest biblijne przykazanie „Czyńcie sobie Ziemię poddaną”.

Gwoli ścisłości, już obecnie są miejsca na naszej planecie, gdzie frazy z piosenki „Przekleństwo” (np. „By zdobyć choćby jeden łyk wody / Wcisną karabiny do naszych rąk”) nie są ponurą prognozą, lecz przerażającą rzeczywistością…

Na marginesie, kiedy media społecznościowe pełne są cudownych, a może raczej cudacznych, recept na długowieczność i szczęście, rzut oka na Grabowskiego i „Robala” wystarczy, by przekonać się, że granie punka i darcie mordy w słusznej sprawie konserwuje wyśmienicie!

K.K.

eprasa.pl cbc5cb04da

Porażki w pięciu smakach

W sporcie jedno jest jasne: żeby ktoś mógł wygrać, ktoś musi przegrać.

Kto nie tego widział w telewizji, na pewno o tym słyszał, bo wiadomość podawano nie tylko w sportowych serwisach. W II rundzie tenisowego turnieju WTA rangi 1000 w Miami doszło do polskiego pojedynku: Iga Świątek spotkała się z Magdą Linette. Dla Igi Świątek był to pierwszy mecz, bo – jako czołowa tenisistka świata – w I rundzie miała wolny los. Po raz ostatni swój premierowy występ Iga Świątek przegrała 19 sierpnia 2021 r. i to nie z byle kim, bo z Tunezyjką Ons Jabeur.

Zacząłem oglądać mecz bez emocji. Końcowy wynik wydawał się pewny, tym bardziej że Magda Linette przegrała pierwszego seta 1:6. Nagle wszystko się odmieniło.

Grała tak samo

Do sztabu Magdy Linette dołączyła Agnieszka Radwańska i teraz wraz z trenerem Markiem Gellardem sporo zmieniła w grze Poznanianki. Te zmiany są trudno dostrzegalne dla kibica, zwłaszcza dla takiego laika jak ja, który nawet amatorsko przedkładał tenis stołowy nad ziemny, ale przeciwniczki wiedzą, o co chodzi. Zawsze mówiło się, że Iga Świątek ma w boksie świetne wsparcie od psycholożki Darii Abramowicz i trenera przygotowania fizycznego Macieja Ryszczuka. Wręcz stawiano ten team za wzór innym. Na team Świątek coraz częściej spada jednak teraz krytyka. Mówi się, że powinien go opuścić trener Wim Fissett, bo doprowadził co prawda swoją zawodniczkę do wygrania Wimbledonu, co było jej marzeniem, ale obecnie odnosi ona coraz mniej zwycięstw i w coraz gorszym stylu. Daria Abramowicz, zamiast kojąco wpływać na psychikę zawodniczki, wprowadza wiele zamętu. O Wimie Fissetcie oraz ich dalszej współpracy Iga Świątek ma się wypowiedzieć wkrótce i to osobiście. Daria Abramowicz wydaje się nie do ruszenia.

W pierwszym – tak nieudanym dla Linette secie – wobec wyraźnej bezradności swojej podopiecznej, która wyglądała na zagubioną i wciąż pytała, jeśli nie słowami, to wzrokiem, co ma robić, Agnieszka Radwańska w kółko podpowiadała: „Graj tak samo". Trochę się dziwiłem, że po gładkim 1:6 Magda Linette ma „grać tak samo", ale recepta okazała się słuszna. Po to wypracowali na treningach płaski forhend i jeszcze kilka niuansów, żeby stosować je w meczu. W kolejnych setach Linette była lepsza od Świątek i w rezultacie cały mecz wygrała.

To, co wydarzyło się w Miami, najprościej skomentować można krótko: jest sensacyjna wygrana, musi być sensacyjna przegrana. A co z tym dalej zrobią – to już kwestia samych zawodniczek i ich teamów. Kibicuję wszystkim polskim tenisistkom i tenisistom, nie zamierzam jednak niczego im podpowiadać. To są dorośli ludzie i sami powinni wiedzieć najlepiej.

Zwyciężczyni bez złota

Podobnie ma się sprawa z naszymi skokami narciarskimi, bo do tej dyscypliny mam teraz zamiar na chwilę przeskoczyć. Z polskimi skokami narciarskimi jest źle. Postawa Kacpra Tomasiaka podczas igrzysk olimpijskich Mediolan-Cortina tylko przypudrowała sytuację. Do końca sezonu Polakom, chyba trochę z przyzwyczajenia zaliczanym do wielkiej szóstki, nie udało się wygrać ani jednego turnieju z cyklu Pucharu Świata. Doszło do tego, że cieszymy się, jeśli dwóch albo trzech awansuje do finałowej trzydziestki, bo i to nie zawsze się zdarza.

Medale Kacpra Tomasiaka na pewno uratowały posadę trenera kadry Macieja Maciusiaka. Ale czy trener ma jakiś pomysł, jak podnieść swoją dyscyplinę z upadku? On sam zapewnia, że ma. Nie rozwija jednak tematu i chowa się za gładkimi ogólnikami. Trenerze, od gadki-szmatki jesteśmy my, dziennikarze. Kibice, a o dziwo skoki narciarskie w naszym kraju ich jeszcze nie tracą, czekają na efekty pracy, a nie tylko opowiadanie, że będzie lepiej.

A jak potraktować srebrny medal Natalii Bukowieckiej podczas lekkoatletycznych halowych mistrzostw świata w Toruniu? Polka przybiegła do mety jako pierwsza (wyrównała przy tym rekord kraju), problem w tym, że

jakiś geniusz wymyślił, iż w biegu na 400 m będą dwa finały! Złoty medal zdobędzie zawodniczka, która w swoim finale uzyska lepszy czas. Dzięki temu nowatorskiemu podejściu mamy dwie zwyciężczynie, ale tylko jedną złotą medalistkę.

Gwoli reporterskiej poprawności dodam, że w drugim biegu finałowym zwyciężyła urodzona w Ostrawie reprezentantka Czech Lurdes Gloria Manuel, córka Angolczyka i Rosjanki z czasem lepszym od Polki. Nie chcę być złośliwy, ale może po prostu urządzać wyścigi na 400 m indywidualnie na czas…



Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Lekkoatleci trzymają się mocno

Niegdyś na 400 m w hali startowało sześć zawodniczek lub zawodników, ale to było niesprawiedliwe, bo w krytym obiekcie wewnętrzne tory są bardzo ciasne. Począwszy od tego roku zdecydowano, że na starcie tego dystansu stawać będzie czterech zawodników, a dwa wewnętrzne tory pozostaną puste. Halowa lekkoatletyka nie jest jedyną dyscypliną, w której na raz może startować czworo zawodniczek lub czterech zawodników, a nawet mniej; choćby żużel czy kolarstwo torowe. Wszędzie sobie radzą ze sprawiedliwym rozdzielaniem medali, działacze lekkoatletyczni nie potrafili. Nadzieja w tym, że – jak słychać – podczas kolejnej imprezy nie będzie już dochodzić do takiej kuriozalnej sytuacji, że można wygrać finał i nie zdobyć złotego medalu. Czy Bukowiecka była wygraną, czy przegraną toruńskich mistrzostw?

Bardzo ucieszyła mnie wygrana i złoty medal 23-letniego Jakuba Szymańskiego w biegu na 60 m ppł. To kolejny dowód, że nasza lekkoatletyka nie ma się źle, że wciąż dopływa do niej utalentowana młodzież. Jak oni to robią? Prezesowi Polskiego Związku Narciarskiego Adamowi Małyszowi korona z głowy nie spadnie, jeśli uda się na konsultacje do prezesa Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Sebastiana Chmary. Dogadać powinni się łatwo, bo obaj są byłymi wybitnymi sportowcami. Każdemu, kto pamięta Małyszomanię nie trzeba tłumaczyć kim jest Małysz, a Chmara to złoty medalista mistrzostw świata i Europy w halowym siedmioboju.

Dał nam przykład Bonaparte…

No dobrze, było sporo o aktualnych zwycięzcach i przegranych. Czas przedstawić rys historyczny. Są przecież takie wygrane, o których pamięta się latami i które – jak to się ładnie mówi – na trwałe zapisują się w sportowych kronikach.

Na własne oczy widziałem (oczywiście na ekranie telewizora), jak podczas mistrzostw świata w 1974 r. w Monachium fantastyczna reprezentacja Polski prowadzona przez Kazimierza Górskiego (taką wówczas mieliśmy) pokonała Haiti 7:0. Pamiętam nawet strzelców bramek: trzy Andrzej Szarmach, dwie Grzegorz Lato (późniejszy król strzelców całego turnieju) i po jednej Kazimierz Deyna oraz Jerzy Gorgoń. Nie zapomniałem też otoczki polityczno-społecznej towarzyszącej temu spotkaniu. Oba kraje, choć tak odległe geograficznie, łączył pewien element wspólnej historii. W 1802 r. Napoleon Bonaparte wysłał polskich legionistów na Haiti do tłumienia powstania tubylców w tej najbogatszej z francuskich kolonii. Ekspedycja zakończyła się klęską, grupka Polaków przyłączyła się do powstańców, pozostała na wyspie, pożeniła z miejscowymi czarnoskórymi kobietami i w ten sposób na egzotycznej dla nas wyspie powstała całkiem liczna kolonia polskich Mulatów.

W odróżnieniu od prezydenta naszego kraju nie jestem historykiem i nie wiem, ile jest prawdy w twierdzeniu, że legionistami Napoleona kierowała troska o los uciemiężonego narodu, bo sami wywodzili się ze zniewolonego przez zaborców kraju (prezydent stanowczo by potwierdził tę tezę, jako przykład naszej szlachetnej narodowej cechy). Mam jednak podejrzenia, że bardziej kierowali się względami praktycznymi. W każdym razie, związki polsko-haitańskie czy też haitańsko-polskie podkreślano często przed meczem u nas (co pamiętam) i na Haiti (o czym czytałem).

Nie całkiem precyzyjnie przy tym informowano, że legionistom Napoleona zawdzięczamy przywilej automatycznego uzyskiwania przez Polaków obywatelstwa Haiti, tak że niektórzy posiadacze dowodów osobistych PRL, którym pod radzieckim butem było niewygodnie, zastanawiali się, w jaki sposób przedostać się do Haiti, nie wiedząc, że panowała tam dużo okrutniejsza, a przede wszystkim krwawsza dyktatura niż w krajach demokracji ludowej. Owszem, prawdą jest, że potomkowie legionistów Napoleona korzystali z pewnych prawnych przywilejów, ale nie chroniło ich to przed represjami, którym poddawany był cały naród.

Haitańczycy porażkę, a zwłaszcza wynik meczu, przyjęli jako narodową hańbę i bezlitosny dyktator Jean-Claude Duvalier, zwany Baby Doc, odebrał wszelkie istniejące jeszcze dobrodziejstwa potomkom Polaków.

Brazylijska hańba narodowa

Porażka Haiti nie jest uznawana za najbardziej hańbiącą podczas mistrzostw świata; dziś już poza nami mało kto o niej pamięta. Na taką zasługuje przegrana Brazylijczyków, gospodarzy Mundialu w 2014 r., z Niemcami 1:7 w półfinale imprezy. No dobrze, Brazylijczycy mogli ulec Niemcom, to była znakomita drużyna, ale skala porażki na Estádio Mineirão w Belo Horizonte na oczach ponad 60 tys. kibiców (telewidzów nie licząc) wprowadziła kraj, w którym futbol jest religią, w szok połączony z żałobą. Pamięta się o tym do dziś.

Brazylijczycy próbowali jakoś tłumaczyć przyczyny wysokiej porażki nieobecnością kapitana, obrońcy Thiago Silvy, wykluczonego za nadmiar żółtych kartek, oraz Neymara, który wcześniej doznał kontuzji, ale było to trochę szukanie na siłę usprawiedliwienia, bo zespół niemiecki też nie mógł zagrać w pełnym składzie.

Zupełnie na marginesie: Thiago Silva gra do dziś. 41-letni stoper jest kapitanem FC Porto, drużyny, w której występuje i spisuje się więcej niż poprawnie aż trzech Polaków: Jan Bednarek, Jakub Kiwior oraz młoda rewelacja naszej piłki 17-letni Oskar Pietuszewski. Na dobrą sprawę Thiago Silva mógłby być ojcem Oskara.

Przegrana Brazylii z Niemcami 1:7 była bardzo bolesna, ale nie jest to najwyższa porażka, jaka zdarzyła się na piłkarskim boisku.

Piłkarze na Madagaskarze

Żeby ją odnaleźć trzeba znów przenieść się bardzo daleko od Polski, aż do najwyższej ligi na Madagaskarze. Pomoże nam w tym „Księga rekordów Guinnessa", bo porażka drużyny SO Medyrne z AS Adema 0:149 została tam odnotowana. Jak w ogóle w 90 minut można strzelić tyle bramek? Można, jeśli drużyna protestuje przeciw niekorzystnym dla nich decyzjom sędziowskim w poprzednich spotkaniach. Po każdym wznowieniu gry ze środka boiska piłkarze strzelali do własnej bramki, której golkiper nie zamierzał bronić.

Po meczu Madagaskarska Federacja Piłkarska zawiesiła trenera SO Medyrne, jej kapitana, oczywiście bramkarza i dwóch jeszcze zawodników do końca sezonu, a pozostali otrzymali surowe ostrzeżenia. Kary uniknął sędzia, bo uznano, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Ministerstwo Sportu rozwiązało natomiast federację, ale wkrótce ją reaktywowało.

Zanim odbył się mecz na Madagaskarze, rekordowa porażka należała do klubu znacznie bliżej nas, bo w lidze szkockiej. Spotkanie odbyło się tak dawno, że nawet ja go nie pamiętam, bo w roku 1885. Arbroath pokonał w krajowym pucharze Bon Accord 36:0, a ówczesna prasa napisała, że wynik mógł być jeszcze wyższy, bo pięć goli nie zostało uznanych przez sędziego. 17-letni napastnik John „Jocky" Petrie zdobył 13 bramek, co do dziś stanowi rekord skuteczności na poziomie oficjalnych rozgrywek seniorów, choć w 2001 r. wyrównał go Australijczyk Archie Thompson podczas wygranego 31:0 meczu kwalifikacji do mistrzostw świata (2002 r.) z Samoa. „Jocky" urodził się i zmarł w Arbroath. W tamtym czasie piłkarze nie fruwali po całym świecie i nie zmieniali co rok klubów.

Mamy też swój rekord, ale nie jestem pewien, czy wpisano go do „Księgi rekordów Guinnessa". Na piłkarskim boisku reprezentacja Polski pokonała w drugiej kolejce mistrzostw Europy Szkocję 15:0, tyle że działo się to w rozgrywkach ampfutbolu. Nigdy wcześniej żadna drużyna nie wygrała podczas tej imprezy tak wysoko.

O barażach naszej piłkarskiej reprezentacji przed mistrzostwami świata nie piszę. Każdy może je obejrzeć w telewizji i sam uznać, co jest zwycięstwem, a co porażką.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 25.03.2026 r.

eprasa.pl cbc5cb04da

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– To niesłychane – kręci głową Grabiec, szef gabinetu premiera – im bardziej w niego napierdalamy, tym szybciej rośnie mu poparcie.

– Co na to uczeni? – pyta Tusk, premier.

Kulasek, minister nauki, układa sobie w głowie odpowiedź, lecz nie zdąża jej udzielić, bo jak zwykle wtrąca się Pełczyńska, ministra funduszy: – Czasem tak bywa. Zazwyczaj trudno to racjonalnie wyjaśnić.

Tusk się nie odzywa, ale widać, że jest podkurwiony, co świadczy, iż znajduje się na najlepszej drodze do wkurwienia.

Pełczyńska otwiera usta, ale zamiast kolejnych słów wypuszcza pół litra powietrza zmieszanego z dwutlenkiem węgla.

– Na pożądany efekt zawsze trzeba trochę poczekać – przychodzi jej w sukurs Kierwiński, minister spraw wewnętrznych. – Należy ciągle go napierdalać. Nie wolno odpuszczać. Zobaczycie, że w końcu słupki zaczną mu spadać.

– Kiedy? – pyta Tusk.

Nie ma odważnego, który podałby datę, choćby w przybliżeniu.

– Kropla drąży skałę – szepcze Pełczyńska, a żyła na szyi premiera zaczyna pulsować.

– Za tydzień – odpowiada Szłapka, rzecznik rządu.

Kierwiński patrzy ma Szłapkę jak na samobójcę.

– Za tydzień – dodaje rzecznik – przedstawię nową, skuteczniejszą, strategię napierdalania w prezydenta.

Żyła na szyi Tuska nie przestaje pulsować.

– Dlaczego dopiero za tydzień? – pyta pozornie spokojnym tonem.

– Zbieram analizy, opinie i ekspertyzy. Mam mało ludzi.

– A sztuczna inteligencja? – Ton premiera nadal jest spokojny, ale to spokój przed wybuchem szybkowaru.

Szłapka spogląda na Pełczyńską, a Pełczyńska na Kulaska. Kulasek chce coś powiedzieć, lecz uprzedza go Grabiec: – Napierdalanie w prezydenta to zbyt ważne zadanie, żeby powierzać je sztucznej inteligencji.

Pozostali skwapliwie przytakują. Tusk łapie dłuższy oddech. Wszystko wskazuje na to, że żyła się uspokoi, a Kierownik, jak powszechnie nazywany jest premier, powróci do emocjonalnej normy.

– A co robimy ze świadczeniami w opiece zdrowotnej? – jak filip z konopi wyskakuje Grabiec. – Tniemy bardzo czy bardziej?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN i **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** wreszcie się spotkają: na Dniach Ateizmu. A wierzący mówią, że tylko religia łączy ludzi.

Senyszyn: – Zacznijmy od naprawdę dobrych wiadomości.

Wołk-Łaniewska: – Ależ proszę!

– Episkopat wreszcie podjął decyzję o odszkodowaniach dla ofiar księży pedofilów.

– Zdecydował, że nie zapłaci?

– Przeciwnie. Długo to trwało, ale jest gotów płacić do stu tysięcy złotych bez wyroku sądowego, na podstawie wewnętrznego postępowania wyjaśniającego.

– Nie za dużo.

– Nie marudź, przecież się nie spodziewałaś nawet tyle.

– Prawda. Ale skoro już się tak zgadało o księżach pedofilach: zadziwiła mnie historia z Sosnowca.

– Zadziwiło cię, że ksiądz molestował dziewczynki, a nie ministrantów?

– To też, ale bardziej uzasadnienie wyroku. Przynajmniej w sprawozdaniu Tefałenu. Otóż w przypadku dwóch ofiar sprawa jest jasna: przytrzymywał, obmacywał, oblech, ale niebrutalny, stąd te 2,5 roku.

– Prokuratura złożyła apelację, że mało.

– Prokuratura zawsze woli wsadzać ludzi na dłużej niż na krócej. W tym przypadku może ma rację, a może nie ma, nie znamy szczegółów, ale to w sumie mniej ważne, nie chcę bronić księdza pedofila…

– Dobrze, że to zaznaczyłaś, bo już się zastanawiałam…

– Nie, ja o czymś innym. Zadziwił mnie trzeci zarzut. Ksiądz został skazany również za „naruszenie nietykalności cielesnej" nastolatki, co się objawiło – podał Tefałen – w ten sposób, że „objął ją w pasie i pocałował w czoło". Otóż towarzyszy mi poczucie, iż sądzenie kogokolwiek za objęcie w pasie i pocałowanie w czoło jest niepoważne. I jakoś tam obelżywe wobec tych wszystkich, którzy naprawdę zostali zgwałceni przez księży i którym to solidnie spieprzyło życie – a przecież takich osób nie brakuje. I tak sobie myślę, że filozofia państwa w tej sprawie jest następująca: ponieważ większość prawdziwych gwałcicieli zwiała do Domu Pana – to teraz będziemy twardo wsadzać tych, co tu dużo mówić, nieprawdziwych.

– Zagalopowałaś się i może dlatego w jednym zdaniu dwa błędy. Po pierwsze, większość sutannowych przestępców nie tylko nie umarła, ale dobrze żyje pod ochroną biskupów, a poniekąd i państwa, które nie chce zadzierać z niemiłościwie panującym Kościołem kat. Dlatego patologia się rozszerza. Funkcjonariusze Watykanu korzystają z bezkarności i dalej molestują, gwałcą, kradną, wyłudzają. Po drugie: nie przesadzaj z tymi nieprawdziwymi przestępcami, bo takich w Kościele ze świecą szukać.

– Aż mi trudno w to uwierzyć, ale znowu muszę bronić księży: nie przesadzasz przypadkiem?

– Niby z czym przesadzam? Spójrz szerzej: Kościół kat. jest jedyną instytucją żyjącą legalnie z wyłudzeń na obietnicę zbawienia i życia wiecznego. Wszyscy inni za fałszywe obietnice są ścigani i sądzeni z urzędu zgodnie z art. 286 par. 1 kodeksu karnego…

– Wszyscy inni z wyjątkiem polityków.

– Prawda. Ale pamiętasz pewnie tezę Franca Fiszera, że nie będzie w Polsce dobrze, dopóki się nie rozstrzela stu tysięcy szubrawców, a gdyby się tylu nie znalazło, trzeba dobrać z uczciwych. A każdy pedofil w więzieniu to jeden mniej w parafii. I to jest druga dobra wiadomość, po tej o odszkodowaniach. Zmieniając temat: doszliśmy chyba już do momentu, kiedy trzeba opowiedzieć jak jedna internetowa celebrytka: nie lubię się chwalić moimi drogimi podróżami, ale… ostatnio byłam na stacji benzynowej.

– A ja nie! Ja jeżdżę samochodem bardzo mało, a ostatnio w ogóle. Bilet warszawiaka nadal kosztuje 98 zł miesięcznie, poczekam, aż cena ropy spadnie. Moja przyjaciółka siedemnastka czeka na mnie pod domem każdego dnia.

– Ty już się, naczelna, nie chwal tym swoim prostym proletariackim życiem.

– A właśnie, że będę.

– No to się chwal.

– Już się pochwaliłam, co miało służyć odcięciu się od tych, co nie mogą do Żabki dotrzeć bez samochodu, więc szlochają przy tankowaniu i żądają interwencji od rządu. Uważam, że obniżanie VAT i akcyzy na paliwa, bo ludzie się denerwują, że drogo tankują, to nie jest mądra polityka gospodarcza. Bo to są wymierne wpływy do budżetu i jeśli się zmniejszą, trzeba ciąć wydatki. Więc jakby do tego doszło, to ja wiem, gdzie…

– Niech zgadnę: w MON?

– Ależ oczywiście! Kosiniak-Kamysz jest dziś jak alkoholik w ciągu, który myśli tylko o tym, jak skręcić kasę na kolejną flaszkę. Teraz PSL złożył projekt ustawy poprawiającej prezydencką ustawę SAFE zero procent, bo nie dość, że ma 200 dużych banek z budżetu i te nieszczęsne 187 z SAFE z UE, to jeszcze te z NBP chciałby przytulić. Nie bądź, chamie, chytry, mówi ludowe przysłowie – i jako ludowiec wicepremier mógłby się nad nim zastanowić.



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

– Tak czy siak, ciekawa jest ta kolaboracja PSL nie tylko z klerem, ale i z Nawrockim. Kosiniak-Kamysz twórczo rozwija inne ludowe przysłowie: że pokorne cielę dwie matki ssie.

– Wolę moje przysłowie. Zmieniając temat: byłam w kinie na „Popiele i diamencie". Jest festiwal Wajdy w Kinie Kultura, mamusia mi kazała, to poszłam. I wprost nie mogę uwierzyć, jak ten film mnie zachwycił. Widziałam go poprzednim razem jakoś tak w liceum, w DKF-ie, i wtedy nieszczególnie do mnie przemówił. A teraz byłam absolutnie oszołomiona. Wybitne artystyczne kino, przepiękne malarsko, z aktorstwem, które się nic a nic nie zestarzało i do tego z jakim odważnym przesłaniem w sprawie bandytów z lasu…

– Zaryzykuję tezę, że jak widziałaś to w liceum, to trwała jeszcze Polska Ludowa…

– No trwała. I co?

– Nie było IPN. Ani dnia pamięci tzw. żołnierzy wyklętych. Ani tej całej prostackiej propagandy robiącej z bandytów bohaterów.

– Prawda. A ty nie miałaś procesów za ich obrazę. Więc teraz doceniam w „Popiele i diamencie" scenę, w której towarzysz Szczuka mówi do sanacyjnej pułkownikowej Saniewiczowej: „Wyobrażam sobie twój patriotyzm i nietrudno mi się domyśleć, na jakiego człowieka wychowałaś mojego syna" – a potem okazuje się, że gówniarz jest w bandzie „Wilka" i strzela do robotników, co popierają władzę ludową. I jeszcze jednego elementu w liceum nie doceniłam, który okazał się zaskakująco ponadczasowy: frontu gaśnicowego.

– Nie mogłaś, bo wtedy nie było Brauna. A kto w filmie ganiał z gaśnicą, bo nie pamiętam?

– Sekretarz prezydenta miasta, którego biorą w ministry. Więc sekretarz liczy na przeprowadzkę do Warszawy i wielką karierę, ale upija się w trupa z redaktorem Pieniążkiem…

– Bo kto mądry pije z dziennikarzami?

– Zwłaszcza jak ma polityczne ambicje. Widzisz, kolejny ponadczasowy element. Otóż ten sekretarz, grany przez Kobielę, nawalony jak sztanga mydła, zrywa ze ściany gaśnicę i daje po gościach prezydenckiego rautu z okazji zakończenia wojny. Różnica jest tylko taka, że dla postaci Kobieli to koniec politycznej kariery, a dla Brauna wręcz przeciwnie.

– No i na koniec: wszystkich zapraszamy na Dni Ateizmu. Już w ten weekend, w Hotelu Gromada Centrum…

– Po naszemu: w Domu Chłopa na Placu Powstańców.

– Zaczynamy w sobotę o 10 rano i gadamy do wieczora, z przerwą na tradycyjne ścięcie Łyszczyńskiego o 14.30 na Rynku Starego Miasta. Nie bądźmy skromne i nie ukrywajmy, że nasz występek będzie o godz. 17.45…

– I będziemy się zastanawiać, czy jest szansa na świecką Polskę. A w niedzielę dyskutujemy od 11 do 15.30. Przyjdźcie nas posłuchać albo się z nami spotkać, nie trzeba się zapisywać, wstęp wolny.

– Serdecznie zapraszamy.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl cbc5cb04da